



ORZEŁ BIAŁY

Dolska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr 35 (125)

NIEDZIELA, 22 PAŹDZIERNIKA 1944 R.

CENA 10 LIRÓW

POSTAWA KRAJU

Od jednego z oficerów Armii Krajowej, którym udało się przedrzeć na teren 2 Polskiego Korpusu... korespondent nasz uzyskał poniższy wywiad charakteryzujący walkę i postawę Kraju. Autorzytet Kraju był dla nas zawsze najwyższym autorytetem, głos jego wołań naszego sumienia. Tak było dotąd w ciągu 5 lat naszej tułaczki, tak musi być tym bardziej w chwili obecnej.

— *Warszawa padła. Z bólem w sercu składamy hołd bohaterskiej stolicy, czcimy jej myślowo, ale równocześnie z rozpaczą pytamy, jak należy rozumieć to nieprzerwane pasmo straszliwych ofiar, które od początku tej wojny ponosi Kraj samotnie?*

— Podobnie jak wielu z was, pyta mnie pan, czy na walkę Kraju należy patrzeć jako na coraz nowe przykłady bohaterstwa Polaków i ich fantazji żołnierskiej, jako na coraz nowe ofiary składane dla zdobycia jeszcze jednej zasługi u sprzymierzonych, zasługi u moich tego świata, którzy ostatnio ubolewając nad zgłiszczami i ruinami stolicy, nad dziesiątkami tysięcy poległych, odradzają nam o wymachiwaniu szablą i pomawiają nas o lekkomyślność?

Będąc wśród was, nie po raz pierwszy widzę, że jeszcze się nie rozumiemy. Mimo że z narażeniem życia ludzie z Kraju starali się informować zagranicę, przedstawiać sytuację Polski, wołać o pomoc, wazsza ocena Kraju pozostała błędna. Aby zrozumieć to, co się w nim dzieje, nie tylko nie wolno nam patrzeć oczami okupowanej Belgii, Francji czy Holandii, ale nie wolno również żyć wspomnieniami i przykładać miary z okresu poprzedniej okupacji z lat 1916-18. Inny charakter miała ówczesna okupacja i inna była ówczesna polityka zaborców. Prawdą jest, że celem okupantów Polski była, jest i zawsze będzie eksterminacja narodu polskiego. Ale metody uległy zmianie. Trzeba znać te metody, aby zrozumieć, że w obecnych warunkach zasada mimikry, przystosowania się i biernego przeczekania nie dalały żadnego wyniku.

Niemcy zawsze byli brutalni i pastwili się nad pokonanymi. Ale Niemcy, którzy dziś okupują Polskę są całkowicie inni od tych, których pamiętacie z r. 1916. Jednocześnie lat totalistycznych rządów i totalistycznego wychowania ukształtowało nowe pokolenie niemieckie. Pokolenie celowe i świadomie wychowywanych bestii. Bestii tresowanych od dziecka. Do tego celu służą dziś całe szkolnictwo niemieckie i niemieckie organizacje młodzieży. W wychowaniu dzieci i młodzieży główny nacisk położono na urobienie bezwzględnych osobników, pozbawionych uczuć i honoru i współczucia, ślepo oddanych rozkazom i potrzebom swego kraju. Oto przykłady.

Niemiecka szkoła powszechna. W ławkach siedzą osiemnastoletni chłopcy. Nauczyciel wygłasza pogadankę o wielkości ojczyzny niemieckiej, o bohaterach narodowych, o poświęceniu ich dla kraju. Barwnymi obrazami oddziaływanie na wyobraźnię dziecka, daje przykłady, a potem nagłe pyta: Czy wy gotowie jestecie poświęcić siebie ojczyźnie? Dzieci odpowiadają, że oczywiście pragną tego. Dobrze. Weźcie więc papier i ołówki. Zapiszcie na nich, co macie najdroższego. Dzieci piszą: jeden psa, drugi strzelbę, trzeci zabawkę. Tak, to wszystko musicie poświęcić dla ojczyzny, dla Fuhrera. Poświęćcie nie w przyszłości, ale natychmiast, dziś jeszcze. Teraz idźcie do domu. Jutro na lekcji powiecie, czy wykonałście to zadanie. Jedni przypilnują drugich. Silniejsi starszych

charakterem. I następnego dnia nauczyciel zadaje pytania: czy zabiłeś psa? czy zniszczyłeś strzelbę? czy połamano zabawkę? Kolega mówi, że niedokładnie, że kolbę można doprawić. Wstyd. Zamatałeś się. Jutro musisz ją zniszczyć tak, aby śladu nie było.

Tak wychowane dziecko idzie do Hitlerjugend. O ile się dobrze sprawuje, jako wyróżnienie otrzymuje zwolnienie na wzięcie udziału w egzekucji. Wolno mu przypatrywać się, jak rozstrzelują bezbronnymi ludźmi i zbierać trupy. Nauczył się, by jako piętnastoletni chłopak nie drgnął, gdy sam będzie wykonywał egzekucję. Będzie to dalsze zaszczepienie dla wyróżnienia.

W wieku 16-18 lat przychodzi do szkoły oficerskiej S.S. Po jej ukończeniu pói roku stają w obozie koncentracyjnym, stają

wychowawczego. Po tym okresie jest dopiero „ubermenschem”. Kiedy w Poniatowie lubelskim likwidowano 3000 więźniów, sprowadzono 5000 wychowanków szkoły oficerskiej S.S. Przez kilka godzin obserwowali masową masakrę. Cel — wyrzucić wrażliwość niezarłate do końca życia. Kto przejdzie taką szkołę, nie waha się, wszystko wykona. I tego wychowania są rezultaty.

Komendant obozu koncentracyjnego w tymże Poniatowie, kiedy mu przywieziono transport dzieci, dojrzał wśród nich 9 letniego chłopca podobnego do swego zmarłego syna. Major wziął chłopca do siebie, umieścił go w swym luksusowym mieszkaniu, ubrał, uczył, opiekował się jak własnym dzieckiem. Ponieważ sam jeździł konno, mającego kupił kucyka i razem odbywali przejażdżki. Żyli się i przywią-

zali do siebie. Komendant miał w nim syna, dając znaleźć opiekuna. Ale gdy przyszedł rozkaz zlikwidowania obozu, „opiekun” nie wahał się. Zastrzelił chłopca we własnym mieszkaniu.

I nie ma różnicy, czy to są ludzie z S.S. czy z Wehrmachtu. Żołnierze z Wehrmachtu przechodzą do S.S. i na odwrót. Takie jest bowiem całe pokolenie do 35 lat. Takie są dzisiejsze Niemcy. Ci ludzie są przygotowani na wszystko. Bronić się będą do ostatka. I tylko siła powstrzyma ich może od zbrodni.

— *Czy eksterminacyjna polityka niemiecka była zawsze prowadzona z tą samą żelazną konsekwencją, czy też były u niej zmiany fazy?*

— Plan eksterminacji ludności polskiej opracowywany był na cztery lata przed wojną. Do tego celu służyły najrozmaitsze szkoły i instytucje dla badań spraw polskich. Od pierwszych dni wstąpienia Niemców na ziemię polską było dla nas jasne, że chwycimy kraj w żelazne ręce konsekwentnie zmierzając na najpróż do zupełnego rozbitcia narodu, a potem wynarodowienia, do zniszczenia nas pod względem gospodarczym, złamania psychicznego starszego, zdemoralizowania najmłodszego pokolenia. To był stosunek najczystszy do podbitego narodu, który ma być zamieniony w bezkształtną masę niewolników, w siłę roboczą pracującą dla wielkości Niemiec.

Przed wszystkim chcieli rozbić naszą jedność narodową. Podzielili na regionalne grupy, a potem wynarodowić. Tworzone nie tylko Volksdeuschów i Stammdeutschów, nie tylko odrębne grupy narodowe Ślązaków i Kaszubów, ale również Górali, Sandomierzan, Przemyslan itd. Chcieli dalej wytrzebić mózg narodu, wyrząść inteligencję, zniszczyć wszystkie siły intelektualne.

Wie pan, jaki los spotkał profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Spisy obejmowały likwidację lekarzy, adwokatów, inżynierów, nauczycieli, urzędników. Równocześnie uniemożliwiono odrodzenie się inteligencji. Zamknięto uniwersytety i politechniki, zlikwidowano szkoły średnie. Pozwolono na istnienie szkół powszechnych, ale w rozmiarach nie wystarczających na potrzeby ludności. Założono jedynie szkoły ziemniecznicze i trzy techniczne na całą Polskę. Ale młodzież w nich wychowana nie miała pracować dla Polski.

Zeszliśmy z naszym trybem narodowym w podziemia. Tam staraliśmy się utrzymać więź moralną, zorganizować opiekę nad dziećmi i młodzieżą, odrubić szczyty ponoszone w naszej kulturze, zabezpieczyć przyszłość. Założyliśmy sieć szkół średnich, na tajnych kompleksach odbywały się normalne lekcje, zdawano egzaminy, otrzymywano maturę. Założyliśmy szkoły techniczne i handlowe, tajną politechnikę i tajny uniwersytet z własnym prosektorium. Zorganizowaliśmy własną prasę, stojącą na bardzo wysokim poziomie i o wielkim nakładzie. Jedno z wydawnictw, biuletyn radiowy, miało ponad 300.000 dziennego nakładu, a więc tyle, ile I.K.C. przed wojną. A przecież pism w samej Warszawie było ponad 30. I trzeba przyznać, że nigdy potrzeba nauki, cyfletnictwa nie były w kraju tak rozumiane przez najszersze masy społeczne, szczególnie przed wieś polską, jak obecnie. Nigdy w takim stopniu i rozmiarach nauka i prasa nie spełniły swego zadania przewartościowania się rozbiciu narodu i utrzymania jego spójności, jak właśnie przed okupacją. Nie poddał się. Próbie rozdrobnienia i wynarodowienia przewartościowaliśmy zwiartość i jednolitość organizacyjną w podziemiach taką, jakiej dotąd nigdy u nas nie było.



Oddział Armii Krajowej na mszy polowej

JAN ULATOWSKI

ELEMENTY DECYZJI

Oczekiwania nasze, związane z wyjazdem brytyjskich myśliwcu do Moskwy, nie spełniły się. Po pierwszej podróży p. Mikołajczyka do Rosji było rzeczą jasną, że bez usilnej interwencji naszego angielskiego sojusznika, który poparby nas nie tylko formalnie, ale i merytorycznie — Sowiety nie zechcą wejść z nami w pertraktacje, których założeniem byłoby uznanie rządu polskiego w Londynie za pełnoprawnego — w sensie prawa międzynarodowego — partnera rządu sowieckiego. Moskwa postanowiła zdegradować rząd polski do reprezentacji jednej z grup Polaków i zażądała, by grupa ta weszła w porozumienie z lubelskim komitetowiczami, reprezentującymi rzekomo drugą — co najmniej równorzędną, jeżeli nie wręcz nadrzędną — grupę Polaków.

Zamiast odwołać się raz jeszcze do pośrednictwa naszych wielkich sojuszników, — premier Mikołajczyk poczynił szerokie i gruntowne przygotowania do rozmów z komitetem lubelskim spełniając niektóre z istotnych postulatów tego komitetu (memorandum wyrażające zgodę na rozbiór Polski, na wejście komunistów do rządu, na likwidację instytucji Naczelnego Wodza etc., a następnie przygotowania do praktycznej likwidacji instytucji Naczelnego Wodza).

P. Mikołajczyk nie zauważył, że sytuacja Polski, a także komitetu lubelskiego, jego samego i wreszcie Rosji uległa tymczasem — przynajmniej w opinii anglosas-

kiej — głębokiemu przeobrażeniu, na skutek wydarzeń związanych z wybuchem, przebiegiem i upadkiem powstania w Warszawie. Przeobrażenia te dawały polskiemu premierowi zupełnie nowe elementy do myślenia, lecz p. Mikołajczyk uczynił wszystko, by elementy te pozostawić nie wykorzystane.

Wobec takiej postawy p. Mikołajczyka trudno się dziwić, że polityka aliancka posuwała się nadal po linii, tak dramatycznie scharakteryzowanej w Izbie Gmin przez postać konserwatywnego, kpt. Allan Grahama: „Jeżeli nie chce, by Polska wykopała sobie swój polityczny grób, pozwólmy jej w każdym razie, by wykopała go sobie sama. Lecz nie dopuśćmy, by kiedykolwiek można było powiedzieć, że myśmy przywołali rękę co łopaty kopiącej grób. Pozwólmy również Polsce wykazać jej własną zdolność do osiągnięcia porozumienia z Rosją”.

Wiadomość o zamierzonej podróży p. Edena do Moskwy oceniliśmy na tym miejscu jako okazję do zaznaczenia naszej rozzumnej i naturalnej postawy wobec sytuacji wytworzonej przez postępowanie Moskwy. Sądziłmy, że podróż p. Edena byłaby możliwa, jeżeli brytyjski minister spraw zagranicznych postawiony sobie wpłynął na rząd sowiecki, by umożliwił Polsce — rządzonej przez władzę chwilowo przebywającej w Londynie — wytrwanie u boku sprzymierzonych w

(Dokończenie art. na str. 5)

(Dokończenie na str. 2 i 3.)

POSTAWA KRAJU

(Dalszy ciąg art. ze str. 1.)

— Jak wyglądają oddziały Armii Krajowej, które przeprowadziły akcję, a potem przez 63 dni bohaterów walczyły w Warszawie?

— I znów nieporozumienie. Myśląc o Armii Krajowej nie wolno stosować analogii z POW, a tym bardziej z Legionów. U podstaw tej organizacji leży konieczność: samobrony. Już po pierwszych miesiącach zachowania się Niemców wobec ludności polskiej zaczynają się samorzutnie tworzyć grupki ludzi zdecydowanych przeciwstawić się terrorowi. Tworzą się komórki po 5 do 6 osób. Rodzą się fantastyczne pomysły. Powstają samorządnie działające, a nie z sobą organizacje. Nie jedna, więc. Najbardziej gromadziła się najbardziej zagrożona inteligencja, oficjery, zawodowcy i rezerwy, potem pół-inteligencja, potem robotnicy, którym groziło wywiezienie, następnie chłopi, którzy po 1942 masowo już wstępowały. Ludzie rozumieeli konieczność walki tym bardziej, że dlań wszystko jedno czy być w organizacji, czy być poza nią. Zbiorowa odpowiedzialność dosięgała każdego. Nie należeli do organizacji, aresztowani i skazywani na śmierć, żalowali zawsze, że ginili za nie. Ten stan rzeczy zastrzył się w chwili, gdy prowokacja komunistyczna zaczęła niszczyć guzik represyjnej maszyny niemieckiej.

W większości swęj (nie Armii Krajowej, to cywil w wyszarzanej podartej marynarce, pracujący cały dzień, a przynajmniej kilka godzin dla stworzenia sobie alibi, to kobieta w podartej sukience, w niemodnym kapeluszu lub chustce na głowie, otoczona czysto gromadą dzieci, dla których utrzymania pracuje jednocześnie w biurze czy domu.

Ten ruch samorządny trzeba było ująć w karby, rozpoznać ludzi i powiązać ich ze sobą, nauczyć życia i pracy konspiracyjnej. Zadaniem naszym było stworzyć sieć organizacyjną na cały kraj, wyszkolić żołnierzy i przygotować na odpowiednią chwilę.

Z początku nie było to łatwe. Systemem fabrycznym, z największą ostrożnością, trzeba było wybadać każdego. Nauczyć dyskrekcji. Zwłaszcza niepotrzebne gadulstwo. Z tym ostatnim miałem wielkie trudności. Przyjeżdżałem do miasta. Rano wchodziłem do sklepu. Chcę kupić bochenek chleba. „Dla pana i dla” — odpowiada sprzedawca. — „O co chodzi?” — pytam „Tu nikogo nie ma. Ja pana znam. Pan pamięta, pan świadczył mi wiele dobrego, gdy pracowałem w spółdzielni”. Po południu idę do stołowni. Naprzeciw siedzi jakiś człowiek i bacznie mi się przygląda. Tak jem obiady. Celowo przedziwiam swój pobyt w stołówce. Czekam, co będzie. Wysejdzę, ale spaceruję po ulicy. Czuję się nieswojo. Wreszcie decyduję się. Wychożę. Klania się na ulicy. Mijam go. Ale z nim nie dogania i zaczepia: „Dzień dobry — ja znam przecież pana z poczajką”. Tak tu mnie znają. Jestem rozszyfrowany. Trzeba ślad jechać.

W ciągu kilku miesięcy pobytu w Warszawie byłem w 100 mieszkaniach: w jednym śpiąc, w innym pracując, w innym odbywając spotkania. Nota bene nie było z nich ani jednego, w którym nie poniosłem, bo w jakiejś stracie. W jednym, z siedmiu osób rodziny została przy życiu tylko jedna. W mniejszych miejscowościach było większe trudności. Mieszkalem z niedziwą z starszego pana. Spotykałem się z niewiastą z organizacji. Biedaka poszrono, że utrzymuje dom schadek, trzeba było się wywodzić. Mieszkalem na strychach, w piwnicach, w stodole przykrytej siekawką, tak że tylko przez rękę można było oddychać. W jednej miejscowości pracowałem na kirkucie, na cementarzu, gdzie indziej na rynku w tłumie ludzi, na polu.

W mieście rano odbierałem pocztę, przyjmowałem ludzi, biegałem na spotkania. Stały pościę. Nigdzie nie wolno się spóźnić, bo to może kosztować czyjeś życie, a zawsze strata kontaktu i nowe umawianie się. Nigdy nie było czasu na jedzenie. Po południu praca dla zachowania alibi, co najmniej 3 do 4 godzin, a potem trzeba biec do domu, aby zdążyć przed godziną policyjną, bo wielu, którzy nie zdążyli, nigdy doń nie dotarło. Obiad razem z kolacją, a potem w nowym obmyśleniu planu na dzień następny. Planu dokładnego. Z kim się spotkam, jak się ubiorę, ile czasu potrzeba na dojeżdżenie i spotkanie, jak przejeżdżać, jak wrócić. Układanie rozkazów. Czy jest jasny, czy odbierający go zrozumie, co będzie, gdy wpadnie? Trzeba przewidzieć wszystko od początku do końca.

A potem nie. Czekanie, czy nie idą. Mieszkalem kiedys na Wilczej. Był to mój urlop. Stoję na balkoniku. Idą. Naradzają się z dozorcą, w którą klatkę schodową wejdą? Chwila oczekiwania, jakże piekielnie du-

ga. Wszli na wprost. Z uczuciem zwierzęcej ulgi oddechaliśmy. Coñaliśmy się do pokoju. Rzeczą szyby obserwowałem, jak na pierwszym piętrze robiono rewizję. Przy świetle lampki naftowej widać było, jak ktoś podnosi ręce do góry. Obzuczają go. Za chwilę prowadzili go przez podwórze. I tak ciągle. O gdybyż ludzie w Kraju mieli przez te 5 lat choć niedzielię wolną od tego stałego niebezpieczeństwa, jakże by odetchnęli.

Powoli scalało się wszystko. Łączyło komórki ze sobą. Jednoczyło organizację, składającą się z ludzi pracujących jako cywile, ale zawsze gotowych na rozkaz. Po tem z młodzieży, która kryła się po lasach, z chłopców po spalonych wsiach, tworzyli się zwarte oddziały. Pod dowództwem Komendanta Głównego powstawała Armia Krajowa.

Całość tej Armii ma specjalne oblicze. Wojna, wspólnie przeżyte bitwy nie łączą tak ludzi ze sobą, jak uczucie stałego niebezpieczeństwa. Morale tego wojska jest bardzo wysokie.

Jest w nim wiele kobiet. Pracują z niezwykłym poświęceniem. Większość z nich bez wątpienia zasłużyła na krzyż Wirtuti Militarii. Jakież straszne katusze fizyczne i moralne muszą one nie raz przechodzić. A jednak nigdy nie zawiodą. Są dyskretnie, sumienne i odważne. Oto od jednej otrzymuję kartkę: „Wiele przeszłam, ale bądnąc spokojną”. Nie mogę jeszcze ujawnić, jak okropnie męczarnie przeszła ta kobieta. Inna pisze: „Spoko!ło mnie to, co jest najgorsze, ale nie się nie dowiedzieli”. Tak, wiem, odeślą ją do domu publicznego, który dla rozrywki członków S.S., dla ich sadystycznych doświadczeń istnieje przy każdym obozie koncentracyjnym.

W tym wojsku kar nie ma. Jest jedna. Kara śmierci za zdradę. Ale dycypina jest nadzwyczajna. Jakże często wychodzi rozkaz udać się gdzieś. I oto człowiek, który nie ma papierów, przepustek, mimo zarządzonej łapanek, o których wie, nie odmawia nigdy. Idzie i nie spóźnia się.

W tym wojsku nie ma pijaństwa. Wódka to przecież środek rozkładowy, który wprowadzili Niemcy, aby zniszczyć fizycznie i moralnie naród. Kiedyś spotykam oficera z dużą palką. Pytam, po co ją nosi. To oddział jego ustalił, że jeśli ktoś wypije jeden kieliszek wódki, to dostanie za to od niego kijem.

W tym wojsku nie ma awansów u starszych stopniem. Starszy zrezygnował! Za przykładu na rzecz młodszego. Badzo często starszy stopniem sprzed wojny oficera jest dziś podkomendnym młodszego stopniem. Bardzo często podlega cywilowi, który nigdy przedtem w wojsku nie służył.

Uposażenie stanowi jedną dziesiątą wazego. A przecież kilo cukru kosztuje 100 zł, a kg seleniu 150, kilo masła 100-300, kilo mięsa 100 zł.

Przywiązanie i sentyment do dowódców są wielkie. Żołnierze chcą być regularnym wojskiem, chcą mieć stałe jego złudzenie. Kiedyś zaproszono mnie na kolację w oddziale. Każdy chciał mieć przyjemność zaimelować się utartą wojskową formułą. „Jak to zrobić? Omyslił. Jeden przynosił mi widelce, inny łyżkę, inny talerz, i każdy stawał na baczność, tupał kopciatymi i mieldował po wojskowemu. Jakże im gorąco pragnęliby mieć mundur, ba, czapkę, ale tylko dawną polską rogatywkę. A teraz, gdy idzie zima, są bez butów i bez ciepłej odzieży, często na deszczu bez dachu nad głową. Ale zawsze gotowi do walki.

— Jak wyglądają uzbrajanie Armii Krajowej?

— Czy po upadku Warszawy trzeba o tym mówić? Przecież nie męstwa naszym zabrakło, nie ludzi, bo staliśmy cały naród, ale broni. To co ma Armia Krajowa, to mizernum broni różnego rodzaju: francuska, rosyjska, niemiecka, japońska. Przeważnie Schmeissery i Steny, granaty i bomby. A przecież każdy karabin w naszych rękach, to wydarzyć kilka karabinów Niemcom, każdy karabin maszynowy, to zdobyć ich cemu. Nie byłem w Warszawie podczas ostatnich walk, ale z radia wiem, że na Starym Mieście porażeni żołnierze pozostawali w piekielnym ogniu, by z gruzów wydobywać broń. Przedtem urządzaliśmy wypadki na składy materiałów wybuchowych. Jako praktyczny egzamin dla podchorążych dawaliśmy zadanie rozbrojenia posterunku dla zdobycia broni i amunicji. Podobnie zdobywaliśmy pieniądze na akcję. Wie pan, że w natarciu na silnie konwojowany niemiecki samochód poczytowo zdobyliśmy na Miodowej 100 mil. złotych. Wszystkie pieniądze poszły na potrzeby Armii.

— Czy mogły pan dać kilka przykładów akcji Armii Podziemnej?

— Nie mogę ujawniać wielu walk, bo akcja się toczy. Ale oto dwa przykłady. Najbardziej zagrożona nasza broń — to łączność. Na jedną naszą radiostację odbył się najazd 300 żandarmerii niemieckiej oraz wozu pancernego. Radiostacja broniła 6 ludzi. Walka trwała 3 godziny. Z naszej strony jeden zabity, jeden ranny, reszta wycofała się niszcząc stację.

Inny oddział, składający się z 70 ludzi, został otoczony przez 200 żandarmerii i ponad 100 „wasowców” (*). Akcja była przygotowana przez Niemców. Natarcie szło z trzech stron, z czwartą — jedynie wyjście znajdowało się pod takim ostrzałem, że stanowiło obszar śmierci. Walka trwała od 10 do 17. Z naszej strony 27 zabitych i 3 rannych. Kilku dziesięciu zabitych Niemców, ponad setka rannych, zniszczone dwa ich samochody. Byłem na pogrzebie naszych ludzi. Dowódca oddziału natychmiast po pogrzebie zgłosił się do mnie prosząc o udział w walce w dniu następnym. Taką jest postawa i nastroj żołnierzy Armii Krajowej.

— Czy stylak się pan z dowódcą Armii Krajowej, obecnym naszym Naczelnym Wodzem? Czy mogły pan scharakteryzować warunki jego pracy?

— Jak pan wie, gen. Bór był początkowo zastępcą komendanta głównego, a potem sam objął komendę. Pokonał wielkie trudności scalenia organizacji, różnych pod względem politycznym. Jakś czas mieszkaliśmy w jednej dzielnicy miasta. Spotykaliśmy się na ulicy. Zamieniliśmy umiemy i każdy szedł w swoją stronę. Byłem z nim na kilku spotkaniach. To przykład konspiracyjnego żołnierza. Cebuje go spokój i pogoda ducha. To twardy i nieustępliwy człowiek. Dla podkomendnych wyrozumiały. W pracy zdecydowany i odważny.

Teren i otoczenie stwarzały, że zagrożenie jego było zawsze większe niż innych. Rozumie pan z iloma ludźmi musiał się codziennie stykać. Delegat rządu, szefowie komórek. Bywały wypadki, że lokal, w którym odbywały się spotkania, był zagrożony, a przynajmniej nam się wydawało, że jest co najmniej pod obserwacją. Doradzaliśmy mu, by nie przychodził. Sami załatwiliśmy sprawy i zameldujemy. Nigdy się nie godził twierdząc, że nie może siebie osłaniać, że nie chce być wyjątkiem. W okresie dużego nasilenia łapanek od 13.X.1943 do połowy lutego 1944 ostrzegano, by zaniechał niekoniecznych spotkań, by ograniczył swoje wychodzenie z domu. Nie dał się przekonać. Był zawsze z nami i zawsze nam świecił przykładem w tej ciężkiej pracy.

— Jaki jest stosunek ludności nie należącej do Armii Krajowej, do tej żołnierzy i jej akcji?

— Jest to stosunek wzruszającego związku się i poparcia. Był czas, że po akcji naszej Niemcy łapili ludzi na ulicach osławdzali, że aresztowani unikną śmierci, jeżeli wydadzą lub ujawnią sprawców zamachu. Nigdy nikt nikogo nie wydał. Ogłoszenia wzywające do denuncjacji pozostały bezskuteczne.

Ludność wiejska żywi wojsko, kwatruje bez żadnej zapłaty, bo i co dziś pieniądź znaczy, pod stałą groźbą strasznych represji.

Jeden z oddziałów zrobił wypad na wieś, w której byli Niemcy, jako represję za ich terror. Wieś została potem spalona, ale wszyscy chłopci cieszyli się, że nasz oddział taką zemstę wykonał na Niemcach.

Pamiętam wczorzenie jednego z oddziałów. Przyszła na nią staruszka wiejska ze swym dziesięcioletnim wnukiem. Było to późnym wieczorem. Popisy przedzwały się, więc chłopak zaspiał. A ona stała go trząca mówiąc: „Patrzaj, to nasi żołnierze, jutro pojedą gdzie indziej, już ich tu nie będzie”.

Ktoż nie współdziała z tą Armią? Na Mokotowie był skład materiałów wybuchowych. Pani domu, wdowa po oficerze W.P. nie mogła w tym dniu nocować w mieszkaniu. W domu zostało dwóch chłopców, jeden 14, drugi 10 lat. W nowo zajętej samochod. Jacyś obcy dzwonił do drzwi. To pewno żandarmi. Starszy mówi: mamo! — Zabaw ich, a ja się przysięgam! — Matec podchodzi do drzwi i pyta: „Za żandarmi? Czy naprawdę? Mamusi nie ma. Ja się boję”. Żandarmi włąd do drzwi coraz silniej. Ale potrzebna ważka, więc osągnęła. „Otkierali!” — woła starszy. I w tym momencie wala w otwarte drzwi serię strzałów ze Schmeissera. Dwóch zabitych, jeden ranny, jeden zbiegł. Zatrzasnął drzwi. Starszy doskakuje do okna i zrzuca dwa granaty do samochodu. Ranni, zabici — słychać krzyki.

* Żołnierze oddziałów gen. Wasłowa, rekrutujący się z jeńców armii sowieckiej.

(Dokończenie art. na str. 3)

W...IR

NA MARGINESIE DYSKUSJI W IZBIE GMIN

Dyskusja w Izbie Gmin raz jeszcze okazuje, że Anglia dołoży wszelkich starań, by dojść do porozumienia ze Związkiem Sowieckim. Może ton w stosunku do Moskwy był mniej entuzjastyczny, może większa była świadomość, że spraw wymagających uzgodnienia jest dużo i że porozumienie nie jest rzeczą prostą. Zasadniczą linią nie ulegała jednak zmianie — i to jest faktem, z którym musimy się liczyć.

Wolno nam jednak wobec usiowań angielskich zachować sceptycyzm. Więcej nawet — nie byłibyśmy lojalnymi sojusznikami, gdybyśmy ten nasz sceptycyzm ukrywali. Wiemy, że — na razie przynajmniej — niemal nikogo nie przekonamy; nawet nasi przyjaciele mają nas za straconych, bo bezpośrednio zainteresowanych. To prawda, że nie wszyscy Polacy umięją się zdobyć na obiektywizm; często trudno go zadać po tym, cośmy przeszli z powodu Rosji sowieckiej, lub też w Rosji samej. Niemniej jednak nikt w Europie nie zna tak dobrze Rosjan, a zwłaszcza komunistów rosyjskich, jak my właśnie. Byliśmy pod panowaniem cara, z bliska widzieliśmy rewolucję rosyjską. Prowadziłyśmy wojnę z Rosją sowiecką i zawieraliśmy z nią pokój. Przez dwadzieścia prawie lat prowadziłyśmy z nią politykę jako z sąsiadem, zawieraliśmy traktaty i widzieliśmy ich wykonywanie — a nade wszystko żyliśmy codziennym życiem sąsiedzkim. A potem — przyszedł r. 1939 i wszystkie jego bliższe i dalsze konsekwencje. Doświadczaliśmy miłsiłmi dosyć.

Po wojnie Związek Sowiecki pozostanie naszym sąsiadem i my chcemy ułożenia z nim stosunków, gdyż pragniemy pokoju. Nie możemy więc zgłaszać zasadniczych sprzeciwów, gdy nasi zachodni sprzymierzeńcy dążą do tych samych celów. Niepokój budzą wśród nas dopiero ceka, jakiej ceka za to Moskwa — a przede wszystkim błędna, naszym zdaniem, taktyka sojuszników. Nie trzeba był wielkim znawcą komunizmu sowieckiego, by wiedzieć, jak głęboko czuje on swoją odrębność od reszły ludzkości; jest to świat żyjący sam dla siebie i uważający wszystko, co jest poza nim, za element sobie wrogli. Tej podobności, czy raczej świadomości, nie uspić nie może. Jest to inny świat i takim ceka pozostać; ogarnia szóstą część globu ziem-

skiego i pomimo to uważa, że jest stale zewsząd zagrożony. By bronić swego stanu posiadania, ma tendencję do coraz nowych zdobyczy terytorialnych. Tak zresztą rozszerzało się imperium rzymskie. Rosyjskie państwo komunistyczne uważa, że może istnieć w odosobnieniu tylko przez pewien okres. Z czasem, albo komunizm rozszerzy się dalej, albo zginie. Jest w tym pewna dośrodek prawdy, lecz więcej jeszcze podejrzliwość rosyjskiej i tej mieszanej megalomanii i kompleksu niższości, jaką często spotykamy u ludów o niższym poziomie kulturalnym, lub choćby tylko technicznym i gospodarczym.

Gdy chodzi o kraje o bardzo odległej strukturze gospodarczej i finansowej, stosunki handlowe można prowadzić tylko dzięki wymianie towarów, lub clearingu. Metodę tę można rozszerzyć i na dziedzinę polityczną. Wobec odrębności świata zachodniego i sowieckiego, stosunki polityczne nie można skutecznie ułożyć tylko w myśl zasady „do ut des” stosując rodzaj cearingu politycznego. Jednostonne ustępowanie nie powiększają zaufania, co najwyżej budzą nowe apetyty. Jeden ze światów pragnie się rozszerzyć kosztem drugiego — właśnie dlatego, że ma świadomość swojej obecności, że jest niezdolny do trwałej symbiozy, a nawet jej nie chce.

Co innego taktyka. Komunizm jest konsekwentnie materialistyczny; nie dąży do wywołania rewolucji tam, gdzie sytuacja do tego nie dojrzała — czeka na rozwój procesów społecznych; nie wierzy w skuteczność terronu indywidualnego, chyba że jest to środek do rozkołysania mas. Owo przekonanie, że procesy społeczne mają swój bieg, przez który przejsz muszą, ma jeszcze inną konsekwencję: w Związku Sowieckim ustawodawstwo i obyczajowość mogły, czy mogą przejść znaczną nawet ewolucję. Natomiast w krajach, gdzie ustrój komunistyczny dopiero się zaczyna, musi on — w myśl zasady kolejności procesów społecznych — przejść przez te stadia, które Związek Sowiecki ma już poza sobą. Trzeba rozbić, demoralizować rodzinę burżuazną, by potem skonstruować nową, sowiecką, ściśle zespoloną z państwem. Trzeba przejść przez okres agitacji bezbożniczej, by dojść do tego, żeby młodzież, jeżeli nawet interesuje się religią, to tak, jak my alchemią, czy astrologią. Wówczas —

zwłaszcza ze względu na propagandę zewnątrzną — można nawet dopuścić pewną swobodę kultu dla starych, lub tych, którzy mają wyjątkowe skłonności mistyczne, jest to możliwe wówczas, gdy w mniemaniu przewodów religia utraciła charakter poważnego zjawiska społecznego, tak jak nie jest nim to, że ktoś ma niewiarymanię stawiania horoskopów astrologicznych. Jeżeli we Włoszech np. partia komunistyczna jest elementem jaadu, a nawet chwilową podporą monarchii, jest to taktyka, mająca komunizm zaszczepić na miejsce faszyzmu, a mimochodem rozszadzić socjalistów i demokratów chrześcijańskich. Z czasem maska spadnie. Masowe łąpienie przeciwników przychodzi dopiero w epoce fermentu rewolucyjnego, jak w Hiszpanii, lub pod zbrojną okupacją, jak to było w państwach bałtyckich i części Polski, jak się to niewątpliwie powtórzy w wielu innych krajach.

Gdy przynajmniej jedna strona ma świadomość, że nie jest możliwe uzgodnienie kulturalne, ustrojowe i gospodarcze, gdy układają się czynniki o całkowicie różnej ideologii — wówczas do porozumienia nie można dojść drogą jednego ramowego układu; może być natomiast nie tylko możliwe, ale nawet konieczny szereg porozumień w konkretnych sprawach. Przeważa ma ta z układających się stron, która ma tego świadomość. Zasady ogólne pozwalają martwą literą; układy konkretne realizują się. Musi przegrzać ten, kto w zamian za ogólniki daje konkretne ustępowania.

Układy ze Związkiem Sowieckim, aby były skuteczne, muszą być nie tylko poszczególne, ale i szczegółowe. Dyplomacja sowiecka posilkuje się zawsze dialektyką typu wschodniego. W umowach gra rolę nie tyle duch ile litera — z tendencją do dialektycznej interpretacji. Co nie jest przewidziane, lub co jest sformułowane w sposób nadający się do dowolnego, nieraz jednostronnego komentowania — obraca się na korzyść Moskwy. Dodajmy jeszcze, że dyplomacja sowiecka uwzględnia fakt, iż w przetargach politycznych, tak jak w każdej bitwie, jest moment kryzysu, gdy wygrywa ten, kto wywiera większą siłę psychiczną. Prowadzi to polityków sowieckich aż do bluffowania siły, tam gdzie jej nie ma. Na rokowaniach pokojowych w Mińsku, w 1920 r., delegacja sowiecka sta-

wiała stronie polskiej ultimatum z żądaniem przekreślenia naszej niepodległości, w czasie, gdy bitwa warszawska była już przez nas wygrana, lecz wiadomości o tym nie były do delegacji polskiej dopuszczane.

Mamy niepokojące wrażenie, że dotychczasowa taktyka angielska w stosunku do Związku Sowieckiego nie uwzględnia tego wszystkiego, cośmy powyżej powiadzieli. Konferencja w Teheranie miała, jak się zdaje, charakter przyjacielski; dość ogólnej ugody trzech czynników; praktyczne, szczegółowe wnioski miały wypłynąć z konsekwentnie z założeń wzajemnego zaufania i współpracy. Tylko że jeden z biorących udział w „gentleman agreement” czynników za przystąpieniem do ogólnych, czy nawet ogólnikowych zasad zdołał utrzymać konkretne przyczepienia; inaczej traktując ugodę dał bariery dla innych o własne, poszczególne interesy. Tak przynajmniej można by sądzić np. z faktu, że przedstawiciel Moskwy zasiada w Środoziemnomorskiej komisji międzyalankkiej, że Związek Sowiecki ma głos w zajętej przez armię czerwoną części Polski, sprawach włoskich, a nawet francuskich — natomiast nie ma misji alankkiej ani w zajętej przez armię czerwoną część Polski, ani tym bardziej na Litwie, Łotwie i Estonii. Z Bułgarii misje wojskowe alianckie musiały wyjechać; rozwój wypadków bałkańskich nie świadczy by Moskwa zbytnio liczyła się tam z interesami sojuszników.

W Brytanii w miarę nabierania doświadczeń w polityce z Sovietami będzie się zapewne zbliżała do naszych poglądów i przekonań. Na razie jesteśmy w politycznej defensywie. Kto wie, jak długo to będzie trwało; Anglię myślą i wysuwają wnioski; solidnie, lecz powoli. Nie cofamy im wskutek tego zaufania, lecz nie chcemy, by błędna naszym zdaniem taktykę stosowali do spraw polskich. Zbyt na to jesteśmy przewidziani, że się mylą. Nim życie nasze różnicę wyrówna, niech nam pozwolą trwać na zasadniczych stanowiskach: Wolność — Ciałosć — Niepodległość.

Na razie z zadowoleniem notujemy odpowiedź p. Edena na interpelację poselską, że nie jest rzeczą angielskiego sekretarza do spraw zagranicznych wtarcanie się do sporu między dwoma aliantami Wielkiej Brytanii. Za nasz upór i krytykę Anglia może kiedyś wdzięczna nam będzie.

POSTAWA KRAJU

(Dokończenie art. ze str. 2.)

Nie w drodze taktyki. Jesteśmy przeciw sojusznikom, którzy przez 5 lat dawali innym otrzymania pomoc. Nasze umowy są jasne i przez nas wyprzynione. O wybuchu powstania zawodowców Londynu i Moskwa. Powstanie wybuchu. I oto wieny, że front niemiecko-rosyjski milnie nagle. Prasa sowiecka oskarża Polaków, prasa angielska posuwa nas o lekkożywność.

W miesiąc potem — mówi mój rozmówca — 1 września, w 5 rocznicę wybuchu wojny radio Warszawa oświadcza: „I września. Warszawa walczy. Nie 31 dni, ale tysiące. Niedawno nazwano nas nierozsądnymi. Wolimy 5 lat być nierozsądnymi niż przez 50 codziennie się podić. Rok 1944. Znow byliśmy nierozsądni. Nie. Byliśmy tylko konsekwentni. Wiemy, że w r. 1939 sprzymierzeni nie mogli nam pomóc, lecz teraz, po tak gwałtownych przygotowaniach Warszawa musi otrzymać broń. Chcemy broni i amunicji. Słów honoru z Londynu to za mało, dymu, pożarów i kurzu krwi bratniej wojny dość u siebie”.

Upryła 10 dni walki i mania o pomoc. Wotania idą na cały świat. Apeluje gen. Bór, delegat rządowy, walczące kobiety.

W dniu 10 września Warszawa pyta z rozpaczą: „Czy jesteśmy gorsi od innych miły tych wolność narodów? Dlaczego patrioci czechosłowacy otrzymali pomoc po 48 godzinach, a Warszawa krwawi się od przeszło 40 dni i dostać jej nie może? Czy i produkty dla tysięcy ginących dzieci też są nierzędem wojny? Czy raczej Sowiety boją się młodego pokolenia i dlatego pozwalają mu umierać bez pomocy lekiarskiej, bez odrobiny mleka, którego tak wielkie zapasy mają obecnie alianci?”

Powstanie chyli się ku upadkowi. I oto w 45 dniu walki radio warszawskie donosi, że ukazały się nad miastem pierwsze samoloty sowieckie, że zrzucały trochę broni i żywności. Przychodzą również amerykańska pomoc sojusznicza.

W dniu 19 września gen. Bór dzięki sojusznikom za pomoc: „Drodzy. Pomogliście nam w chwili tak dla nas krytycznej, w chwili, kiedy krwawiące się

Warszawa groziło wystąpienie ostatniego poczku. Gdy na stolicy Polski wialy się 85 centymetrowe pociski germańskich niszczących dział. Nie mieliśmy jaad, lekarstw, najprymitywniejszych opatrunków. Mimo tych braków wierzyliśmy, że nam pomożecie. Byliśmy b. rozczarowani, gdy pomoc nie nadeszła od razu, ale nadziei nie traciłmy nigdy. Sojusznicy, czekamy i wierzymy wam. Za dotychczasową pomoc dziękuję w imieniu tysięcy Polaków”.

Następnego dnia, 20 września gen. Bór wydaje następujący rozkaz do żołnierzy: „W chwili, gdy zdecydowałem się na walkę z okupantem, stwierdziłem, że rząd polski zrobił wszystko co w jego mocy, aby nawiazać przyjazne stosunki z ZSRR. Sam nie ma jednak prawa iść na żadne ustępstwa terytorialne, toteż gdy zostałem poinformowany o warunkach przedstawionych przez ZSRR, oparłem się im stanowczo. Obecnie łączność z dowodą wojsk w ZSRR zostają już nawiązana. Walka w Warszawie dobiega końca. Kosztowała bardzo dużo, ale wierzeie mi, że się opłaca. Dział wojska zwycięskiej armii czerwonej są na przedmieściach miasta i mam nadzieję, iż za kilka dni Warszawa zostanie oswobodzona...”

I oto zaledwie wydane zostały te rozkazy, ledwo porozumienie zostało nawiązane, radio z Warszawy donosi, że pomoc ustają, że artyleria sowiecka bije w Mokotów, gdzie są polskie poczye.

W 63 dniu powstania przychodzi potworna wiadomość. Radio Warszawa nadaje apel do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża: „Wojska Rokossowskiego niszczą rzekli ludności polskiej”. W Warszawie zostają garstka wyszynczonych do ostatniego stopnia żołnierzy. Umierają z głodu starcy, dzieci i matki z niemowlętami. Wczoraj ogłoszono rozkaz Rokossowskiego nakazujący ewakuację ludności z Warszawy. Męczyliśmy od lat 14 do 60, a kobiety do 50. Idą na Sybir żołnierze Armii Krajowej, przernaczeni są do ciężkich ro-

* Na Pradze.

Korzystając z zamieszania starszy wyprawa młodego przez okno. „Smigał” — waha i skacze za nim. Dopada do magazynu materiałów wybuchowych. Zapala najpierw materiały wolnoopalne, a potem ucieka. Przez całą noc wybuchy. Sprawdzono kompanię żandarmów. Otczyli dom i walił do niego 7 rano.

Młodszy tymczasem dotarł do mieszkania swego kolegi. Pyta o ojca kolegi i zwiernia mu się: „Głodny jestem, proszę pana. Widzę pan, laka przygoda się przytrafiła. Chciałem iść do krewnych, ale tam też nieszczęście. Proszę mi dać jeść”. „Uciekaj — mówią do niego — za wasze głowy nagroda”. Ale choćcie jest bardzo zmęczony i woli zostać.

W takich warunkach rosła Armia Krajowa. Trudno się dziwić, że w niej tzw. kompanie honorowe, które czekają na wezwanie. Byłaby znacznie większa, ale niepodobniostwo jej rozszerzać.

Żołnierze jej pracując w warsztacie, biurze, sklepie, w gospodarstwie każdej chwili gotowi są do wykonania rozkazu w najbardziej niebezpiecznych warunkach, przez cały czas pochłonięci jedną myślą: całkowite oddanie i poświęcenia się krajowi. I w tym zdeterminowaniu, oraz w poparcu Armii Krajowej przez cały naród jest nasza wielka siła.

— Jak wybuchło powstanie w Warszawie i jaki był przebieg walki?

— Mówił mi pan, że przed wybuchem powstania w długiej naszej walce z Niemcami odnieśliśmy sukcesy. Społeczeństwo miało wielkie poczucie własnej siły. Wierzyło poza tym w pomoc aliantów. W czasie walk nie byłem w Warszawie, ale z zapartym oddechem słuchałem radia z Londynu, z Moskwy i ze stolicy.

W dniu 30 lipca radio moskiewskie rzuca apel do ludności Warszawy. „Cała ludność miasta musi się zgromadzić wokół Armii Krajowej. Obywatelce Warszawy do broni! Atakujcie Niemców i utajawijcie wojskom sowieckim przejście przez Wisłę. Jednym milion mieszkaniec — to jest armia milionowa, która walczy o wolność Polski!”

— Rozmieni, wtrącam. Wyjrzenciem Niemców jest bliżkie. Polacy muszą wziąć udział w wyzwoleniu stolicy. Przecież to o ich stolice chorzą, której są prauwocnymi gospodarzami. Pomoc musi nadejsć.

ból...”. Tegoż dnia gen. Bór wydaje ostatni swój rozkaz do żołnierzy oświadczać, że Warszawa kapituluje.

— Rozmówca mój zamilkł. Znam rozkaz gen. Bora... Po chwili milczenia rzucam nieszczęśliwie pytanie: Jaka jest wola kraju w stosunku do nas na emigracji?

— Kraj nie chce od was ani hołdów, ani współczucia, ani rozpaczy. Kraj liczy, że potrafi obronić się przed zwycięstwem i uchronić się od przepaści, która dzieliłaby was od niego. Spodziewa się, że wydobędziecie z siebie maksimum samoparcia i pracy. Wierzy, że poza walką staracie się kształcić, aby dostarczyć do jego odbudowy fachowców.

Ale nie miejcie złudzeń. Musicie wiedzieć, że po powrocie do kraju strę spraw nie będzie w waszych rękach. Nie sądziecie, że emigracja będzie rządziła. Spółka was wiele rozczarowała i zastaniecie wiele przemian. Pracodawca, który wrócił do Kraju musi się liczyć się z tym, że jego pracownik, który przez 5 lat narazając swe życie bronił jego majątku nabył dość pewne prawa. Zastaniecie wiele głębokich przemian społecznych. I podobnie będzie w wielu innych dziedzinach życia. Wasze matki, żony i siostry z niepokojem myślą o tym, jak je powitaacie, czy z tym samym sercem, bo wlosy ich siwe, twarze pomarszczone, a ręce spracowane codzienną walką o był narodu.

Kraj walkę z Niemcami będzie prowadzić nadal, bo to jest jedyna droga obrony naszej egzystencji narodowej i odzyskania wolnego państwa. Od was na emigracji wymaga godności i woli. Wasze uczucia muszą stwardnieć tak, jak nasze są twarde. Wasze myśli muszą być nieustęplive. Charaktery mocne. Czynny stanowcze i wyraźne. Oddanie ojczyźnie całkowicie. Kraj wymaga od was godnego uregulowania sprawy polskiej na forum międzynarodowym. Warszawa jest ostrzeżeniem wszystkich i wy to gloscie muscie, a nie ukrywajcie. Nie wolno wam dopuścić do zamalenia sprawy Warszawy, bo to sprawa Polski i świata.

Kraj domaga się dalej jednolitości wojska, które ma walczyć tylko i wyłącznie o Polskę.

Taka jest wola kraju!”
(Wywiad przeprowadził Andrzej Zelc)

DOKUMENTY

Podajemy szereg dokumentów świadczących o wysiłkach i postawie Amerykanów polskiego pochodzenia, jak również oświadczeń odpowiedzialnych reprezentantów opinii publicznej Stanów Zjednoczonych wypowiedzianych w związku z dniem pamięci Pułaskiego, który w tym roku zbliżył się z końcowym etapem kampanii wyborczej U. S. A.

Obchód dnia Pułaskiego

Depesza PAT z Londynu:

Togoroczny obchód dnia Pułaskiego, urządzony 8 października w Nowym Jorku nabrał szczególnego znaczenia ze względu na żałobę z powodu upadku Warszawy oraz z powodu przemówienia gubernatora Nowego Jorku T. Deweya, zawierającego akcenty polityczne. J. Pateracki, prezes komitetu obchodu dnia Pułaskiego oświadczył, że tradycyjna defilada polskich organizacji przez ulicę Nowego Jorku celem uczczenia pamięci Kazimierza Pułaskiego w tym roku, ze względu na tragedię Warszawy, ma charakter żołądka koludy dla obrońców Stolicy. Komitet obchodu polecił okryć krepą sztandary polskich organizacji, a uczestnikom defilady nałożyć ciemne stroje. To polecenie wydane zostało na znak protestu przeciwko niedostatecznej pomocy ze strony narodów zjednoczonych dla obrońców Warszawy.*)

45 tysięcy Polaków przeszło ze sztandarami spowitymi krepą przez śródmieście Nowego Jorku, Fifth Avenue pomiędzy 26-32 ulicami. Na drodze pochodu przylgowało się defiladzie około czterech milionów mieszkańców Nowego Jorku.

Uczestnicy pochodu nieśli transparenty z napisami nawołującymi do zachowania niepodległości oraz nietykalności terytorialnej Polski. Oto najbardziej typowe napisy: „Żądamy wolnej Polski”, „Żadamy wolnej i niepodległej Polski”, „Sprawiedliwość dla małych narodów”. Na trybunie honorowej w pobliżu biblioteki publicznej zajęli miejsca: gubernator Nowego Jorku T. Dewey, ambasador J. Ciecchanowski, b. prezydent Herbert Hoover, senator Robert Wagner, komendant wojskowy Nowego Jorku gen. Hugh Drum, przedstawiciele urzędów i Polacy, oraz reprezentanci komitetu obchodu. Kierownictwo organizacyjne defilady było w rękach ks. dr J. Dworzaka z Yonkers. Dygnitarze kościelni na czele z biskupem F. Mac Intyre przyjmowali defiladę ze stopy katedry św. Patryka. Gubernator T. Dewey, który przyjechał z zachodniej Virginii w niedzielę po południu, niecierkwiłanie przybył na trybunę honorową i wygłosił następujące przemówienie:

„Jeżeli my dzisiaj żyjemy jako wolni ludzie w wolnym kraju, zawdzięczamy to musimy w dużej mierze zdolnościom wojskowym i bohaterstwu gen. Pułaskiego. Walczył on i poświęcił się dla sprawy wolności człowieka, kierowany tylko idealnymi pobudkami i bezinteresownością. Jestem szczęśliwy, że mogę powitać dzisiaj tylu obywateli amerykańskich, w których żyłach płynie krew Kazimierza Pułaskiego. Od pięciu lat my tutaj w Ameryce bolejeśmy razem z powodu nie zawinionej przez Polskę zniszczenia, które wyrządził wazsomu krajowi odwieczny wróg. Polscy żołnierze przyczyniali się do złamania naszych nieprzyjaciół na lądzie, morzu i w powietrzu.

„A tutaj, na naszym wewnętrznym froncie, mężczyźni i kobiety polskiego pochodzenia pracują w dzień i w noc, aby dać zaopatrzenie żołnierzom armii wyzwolenia. Władz, który Polacy dają ich wytwórczo przyczyniają się w dużym stopniu do zwycięstwa. Niech mi wolno będzie powiedzieć, że w całym Stanach Zjednoczonych nie ma ani jednego człowieka, który czuje i myśli, który by nie chciał, aby w wyniku zwycięstwa powstała na nowo Polska jako niepodległa i suwerenne państwo, odbudowane na trwałych fundamentach. Chcielibyśmy jednak wiedzieć coś więcej o planach zmierzających do tego celu. Chcielibyśmy wiedzieć coś więcej o wysiłkach prywatnych dyskusji tych, którzy teraz omawiają przyszłość Polski w sposób tak skryty i tajemniczy. Obywatiele amerykańscy polskiego pochodzenia postąpią dobrze czyniąc wszystko co możliwe, aby wyciągnąć rozmowy o losach Polski z ukrycia na światło dzienne. Bądźcie pewni, że cokolwiek wyjdzie na jaw w najbliższych kilku miesiącach, nie zadolno to narodom amerykańskiemu, dopóki nie będą zaspokojone słuszne żądania narodu polskiego, który liczy na naszą wdzięczność, współczucie i podziw oraz na to, że dążymy do tego, aby wszystkie narody cieszyły się wolnością do której mają prawo”.

Herbert Hoover oświadczył: „Nie

*) Wszystkie podkreślenia pochodzą od redakcji „O. B.”.

można przemawiać do tej deflady protestu dziesiątków tysięcy Amerykanów pochodzenia polskiego nie mając mocnego przesłania, że sprawa Polski nie umarła. Chociaż przyszłość wolności Polski wyglądać może ponuro, dzisiaj tutaj widzimy ledwie iskry duszy polskiej, podtrzymujące życie narodu przez tysiąclecie. I cokolwiek się stanie duch wolności nie zgaśnie”.

Burmistrz Nowego Jorku La Guardia przemawiał do zgromadzonych Polaków przez radio nazywając defiladę „protestem przeciwko brakowi pomocy dla obrońców Warszawy”.

Na zakończenie obchodu dnia Pułaskiego odbyło się w niedzielę wieczorem oficjalne przyjęcie w hotelu Waldorf Astoria z udziałem kilkuset wybitnych osobistości spośród Amerykan i Polaków amerykańskich. T. Curran, sekretarz urzędu stanu Nowy Jork odczytał oświadczenie gubernatora Nowego Jorku T. Deweya, które mówi m.in.:

„Zdaję sobie sprawę z tego, że zbieracie się w głębokim smutku. Wiem, że dzisiaj możecie liczyć na skuteczną pomoc na-

złomie, wszelkimi dostępnymi środkami prywatnymi i publicznymi popieścić z pomocą materialną dla narodu polskiego. Po udzieleniu tej pomocy, która ma charakter zaspokojenia pierwszych potrzeb, stanowią przed zadaniem gospodarczej odbudowy. Ameryka powinna pomóc Polsce i innym narodom, aby stanęły na nogach pod względem gospodarczym, aby rozwinięły przemysł, rolnictwo i handel. Oto tylko częściowe zadośćuczynienie za to, czego małe narody dokonały dla sprawy wolności. Oto tylko częściowe zadośćuczynienie za to, co zrobili dla Ameryki Polacy, którzy pracą swą budowali nasze państwo i brońni za każdym razem, gdy groziło nam niebezpieczeństwo. Otwierając drogę dla dobrobytu i bezpieczeństwa krajów w innych częściach świata stwarzamy warunki konieczne dla naszego własnego dobrobytu i bezpieczeństwa. Musimy stworzyć stały mechanizm czuwania nad pokojem wszędzie i po wszystkie czasy. Polska i inne małe narody, mające dobre rządy, powinny wchodzić w skład tego mechanizmu na zasadach równości i demokratyczności”.

J. Ciecchanowski przemawiał na temat organizacji pokoju świata.



Operacja żołnierza Armii Krajowej pod gołym niebem

rodu amerykańskiego. Amerykanie są również zdezorientowani i niepewni losów Polski. Amerykanie wiedzą, że są ludzie, którzy usiłują załatwić sprawę Polski w prywatnych dyskusjach, ukrytych głęboką tajemnicą. Musimy*) wiedzieć więcej niż to, co przenika z tych rozmów. A kiedy dowiedzimy się, wówczas opinia Stanów Zjednoczonych zareaguje i stanie się silnym i potężnym sprzymierzeńcem tych, którzy dążą do odbudowy Polski, jako państwa niepodległego i suwerennego, opartego na trwałym fundamencie.

„Naród amerykański nie po to tylko walczy, aby pokonać Niemcy i Japonię. Walczymy w tej wojnie po to, aby dać światu sprawiedliwość. Dziś mogąc was zapewnić, że naród amerykański użył tej sprawiedliwości nie tylko w zwycięstwie, ale także w stworzeniu takiej organizacji świata, która dąży będzie do tego, aby ludzka wolność mogła rozwijać się bez skrypowania. Nie ma narodu, który zasłużyłby sobie bardziej na wolność niż Polacy. Naród Polski pierwszy oparł się siłą najazdowi Hitlera. Świat zawdzięcza Polakom wiele i co do nas, to my Amerykanie jesteśmy w zdecydowaniu ten dług spłacić”.

Senator Robert Wagner, demokrat z Nowego Jorku, oświadczył m.in.: „Walka, którą prowadzi naród polski od września 1939 r. po dzień dzisiejszy, nie da się opisać. Zadano mi niedawno pytanie, co myślę o przyszłości Polski? Jestem przekonany z całej duszy, że jedną ze spraw, o które walczymy, jest odzyskanie niepodległości Polski, całkowite przywrócenie i ochrona jej granic odziewieriadających historię i dążenia narodu polskiego. Oto mój pogląd jako członka senackiej komisji spraw zagranicznych i zapewniam, że takie będzie zawsze moje stanowisko. Sądzę także, że większość narodu amerykańskiego zajmuje takie same stanowisko, do tego również dąży rząd prezydenta Roosevelta. Ale nie na tym kończy się nasza odpowiedzialność. Musimy nie-

Genulo, adiutant generalny armii St. Zjednoczonych, odpowiadając na toast wzniesiony na cześć armii amerykańskiej oświadczył: „Armia amerykańska niesie wolność wielkim i małym narodom Europy”. Genulo złożył hołd bohaterstwu Armii Polskiej walczącej na wszystkich frontach Europy.

Przewodniczący komitetu obchodu dnia Pułaskiego J. Pateracki odczytał depeszę powitalną od Roosevelta i Raczkiewicza. Prasa nowojorska poświęciła wiele miejsca sprawozdaniom z obchodu dnia Pułaskiego. „New York Times” zaznacza, że gubernator Dewey w mowie wyślozonej podczas uroczystości dał do zrozumienia, że z podziwieniem odnosi się do stanowiska rządu Stanów Zjednoczonych w sprawie przyszłych granic Polski. W ciągu jednak kilku godzin rząd Stanów Zjednoczonych udzielił odpowiedzi na mowę Deweya przez senatora Wagnera, który zabrał głos na przyjęciu w Waldorf Astoria.

Delegacja Polonii amerykańskiej u Roosevelta

Depesza PAT z Nowego Jorku:

Biurowi Kongresu Polonii Amerykańskiej wydało następujący komunikat:

„W związku z wypadkami niezwykłej wagi ostatnich kilku dni dotyczących sprawy polskiej, w szczególności w związku z tragicznym końcem warszawskiego powstania, Kongres Polonii Amerykańskiej zdecydował się prosić prezydenta Roosevelta o konferencję.

„Wysłki prezesa Rozmarka zostały uwiecznione powrotem.”

„Roosevelt zaprosił delegację Kongresu Polonii Amerykańskiej do Białego Domu na 11 października br., to jest w dniu oficjalnie ogłoszonym przez kongres Stanów Zjednoczonych w wniosek Roosevelta jako dzień pamięci Pułaskiego.

„New York Times” i „New York Herald Tribune” podają z Waszyngtonu sprawozdanie z przyjęcia delegacji Polonii amerykańskiej w Białym Domu.

Obszerne sprawozdanie „New York Times” zawiera fotografie Roosevelta wskazujące na mapę Polski w czasie rozmowy z delegacją. Konferencja trwała 45 min.

Oto tekst oświadczenia Rozmarka złożonego Rooseveltovi, które stanowi strzeżenie uchwał Kongresu Polonii Amerykańskiej z maja br.:

„Amerykanie polskiego pochodzenia przy każdej okazji grupowali się dokoła Pana, Panie Prezydencie i wykazywali swą lojalność i wiarę w Pańskie kierownictwo. Jako ci, którzy lojalnie Pana popierali, uważamy za swój obowiązek przedłożyć Panu niektóre nasze wątpliwości i obawy, które tylko Pan, Panie Prezydencie, może rozprószyć. Przyszliśmy tutaj na prośbę naszych rodaków, by prosić Pana o uchylenie tego w publicznym oświadczeniu. Wszyscy Amerykanie polskiego pochodzenia powitali szlachetne zasady wyłożone przez Pana w Karcie Atlantycznej i w Pańskiej deklaracji czterech wolności, jako cele wojenne godne naszych ukochanych Stanów Zjednoczonych. Ważciliśmy, pracowaliśmy, poświęciliśmy się, by pomóc w osiągnięciu tych celów. W tym samym duchu powitaliśmy wielką Pańską inicjatywę zjednoczenia narodów, jako związków wielkich i małych narodów miłujących wolność.

„W świetle ostatnich wypadków obawiamy się, że te wielkie amerykańskie wytyczne porzuci się, albo poświęca. Te obawy spowodowały wielki niepokój w naszym narodzie. Zapytujemy przeto z największym szacunkiem, czy Pan, Panie Prezydencie, może zapewnić nas, że polityka amerykańska ustanowienia światowego pokoju nie wyrzeka się zasad wcielonych w tych dokumentach i Pańskich oświadczeniach, które postanowiliśmy usilnie popierać”.

Twierdząc, że całość terytorialna Polski i jej „prawdziwa niepodległość” zostały „zagrożone” Rozmark mówił w dalszym ciągu:

„Pragniemy wiedzieć, czy Pan, Panie Prezydencie, jest gotów wszystkim środkami będącymi w Pańskiej dyspozycji obstarać przy słusznej zasadzie niepodległości Polski i bronić jej, jak również jej terytorialnej integralności, bez których naród polski nie może stać się jako niezależny i nie mógłby uniknąć powstania w zależności od swego potężnego wschodniego sąsiada.”)

„W obliczu postawy rządu sowieckiego wobec rządu polskiego prosimy Pana, Panie Prezydencie, o Pańskie zapewnienie, że będzie Pan nalegał na to, by ani żaden obcy rząd, ani marionetkowy system rządzenia nie został narzucony Polsce i aby nie rozprzudzano się żadną częścią jej ludności i nie przesiedlano jej wbrew rzeczywistej swobodnie wypowiedzianej woli narodu.

„Nasz polski fundusz pomocy wojennej niecierpliwie oczekuje niezwłocznego wzięcia udziału w pomocy dla narodu polskiego. Płynność potrzeb Polski jest wielka. Jednakowoż jako Amerykanie uważamy, że nasza opieka i pomoc, czy to udzielona przez UNRRA, czy przez nas samych, musi być rozdzielona wśród narodu polskiego pod flagą amerykańską i pod amerykańską kontrolą, która jedynie w obecnych warunkach może zapobiec, by amerykańskie dary nie stały się instrumentem politycznej presji zaburców”.

Następnie podany z Białego Domu tekst oświadczenia Roosevelta złożonego na Konferencji:

„Jestem szczęśliwy, że mogłem skorzystać z okazji powołania o obecnej sytuacji Polski w wojnie i o przyszłości Polski. Zarówno panowie jak i ja jesteśmy zgodni, że Polska musi być odbudowana jako naród wielki. Co do tego nie może być żadnej wątpliwości. Oczywiście powinniśmy mieć na uwadze, że nikt tutaj nie posiada dokładnych informacji o wszystkim, co się dzieje w Polsce. Nawet ja, jako prezydent Stanów Zjednoczonych, mający dostęp do wszelkich możliwych źródeł informacji, nie jestem w pełni poinformowany o całokształcie sprawy. Tak np. ciągle nie znam wszystkich faktów o ostatnich wypadkach w Warszawie. Nadchodzą co dzień nowe informacje, będziemy więc mogli wyrobić sobie dokładniejszy obraz całej sytuacji. Wniośny jest rozległy cel, do którego wszyscy zmierzamy. Jestem przekonany, że opinia światowa zamierza poprzeć ten cel, nie tylko, by odbudować Polskę jako naród silny, lecz także jako naród reprezentatywny i miłujący pokój. Pragnę podkreślić to ostatnie. Jest rzeczą bardzo ważną, by nowa Polska stała się jednym z przedmurzy struktury, na której zamierzamy zbudować trwały pokój”.

*) Tekst ostatniej części zdania zniekształcony w angielskim tekście depeszy — niepewny. Red.

ELEMENTY DECYZJI

(Dokończenie ze str. 1.)

walce, rozpoczęte pięć lat temu i jeszcze nie zakończone. Innymi słowy, spodziewaliśmy się, że p. Eden doprowadzi do ponownego nawiązania stosunków dyplomatycznych między rządami polskim i sowieckim, co umożliwiłoby wszczęcie między tymi rządami normalnych pertraktacji — przy lojalnym pojęciu pośrednictwa brytyjskim.

W chwili, gdy piszemy te słowa, nie potwierdzają się jeszcze wiadomości, jakoby p. Mikołajczyk wszedł w rozmowy z lubelskimi komitetowcami. Natomiast toczą się przeciągłe pertraktacje między czynnikami urzędowymi brytyjskimi, sowieckimi i polskimi, którym towarzyszą nieustannie zapowiedzi, że wszczęcia rozmów Mikołajczyk-Bierut należy spodziewać się lada chwila. Ponieważ trudno przypuszczać, by p. Mikołajczyk nie przysłał na rozmowy, gdyby strona sowiecka przyjęła za ich podstawę jego memorandum sprzed sześciu tygodni, trzeba założyć, że Moskwa stawia postulaty wchodzące daleko poza projekty p. Mikołajczyka. Tyle można w tej chwili uważać za zupełnie pewne, że p. Mikołajczyk znajduje się w Moskwie pod dalszym naciskami. Niestety, nie znamy granic, jakie swojej „dobrej woli” zakresił p. Mikołajczyk. Wiemy jednak, że od tej chwicznej linii zależy w każdym razie pozycja międzynarodowa Polski na ostatnim etapie obecnego konfliktu światowego.

Już dziś mówi się otwarcie w prasie alianckiej, że zamierzone jest utworzenie w Moskwie — na miejsce legalnego rządu polskiego w Londynie i nielegalnego komitetu lubelskiego — „polskiego rządu tymczasowego”. Rząd taki — gdyby został utworzony — miałby dwie dobre strony: jedną dla Anglii, drugą dla Rosji i jedną złą: dla Polski. Utworzenie takiego rządu uwolniłoby Anglię od zobowiązań płynących z lojalnie dotrzymywanego przez Polskę sojuszu polsko-brytyjskiego. Ponadto Anglia złożyłaby w ten sposób dowód swojej dobrej woli zarówno wobec aspiracji sowieckich, jak i wobec promulgowanej przez wielkie demokracje (a w każdym razie przez ich rządy) koncepcji stref wpływów, tj. koncepcji porządku międzynarodowego, mającego zastąpić dotychczasowy porządek międzynarodowy. Korzyści Rosji z utworzenia polskiego rządu tymczasowego leżą jak na dłoni: zwasalizowana Polska, możliwość nieograniczonej interwencji w sprawy wewnętrzne Polski itd. Zysk Polski — zysk ujemny — jest niemiernie widoczny: zob. oświadczenie kpt. Allan Grahama.

Na przebieg rozmów moskiewskich wpływa jednak nie tylko zrzecąca i konsekwentna taktyka sowiecka, ale niewątpliwie także szersza sytuacja międzynarodowa. Nie będziemy wyliczać jej elementów, gdyż zaprowadziłoby to nas zbyt daleko. Możliwe są z tej strony niespodzianki, które — nawet przy ew. swoim cudownym charakterze — musiałaby jednak pozostać bez wpływu na sytuację wewnętrzną Polski. Sytuacji tej nie zmieniają bowiem żadne — choćby najbardziej sprzeczne — wyniki rozmów moskiewskich. Pozostała ona w zasadzie niezmieniona od chwili, gdy p. Mikołajczyk otrzymał w Kairze — w czasie swojej pierwszej podróży do Moskwy — wzywaniem z Kraju, by zawrócił do Londynu. Za dezaprobatą jego polityki ani na chwilę nie zmienia się w aprobacie, owsem, z każdą wiadomością o nowych poczynaniach p. Mikołajczyka pogłębiała się tylko coraz bardziej.

Już z chwilą wysunięcia koncepcji „linii demarkacyjnej” p. Mikołajczyk z pełną świadomością — co potwierdził publicznie — przekroczył swoje uprawnienia i wyszedł daleko poza ofiary, jakie na rzecz współpracy z aliantami gotów byłby złożyć naród polski. Jeżeli nie zostały dotąd wyciągnięte wobec niego te konsekwencje, jakie w praworządnych państwach wyciąga się wobec premiera przekraczającego swoje uprawnienia konstytucyjne, musimy to przypisać bardzo wielu i bardzo różnorodnym okolicznościom — napiętej sytuacji międzynarodowej, słabości charakteru, skłonności do „wishful thinking”, hipnoz „appeasementu”, etc. etc. — ale ponad to wszystko musimy postawić jeden motyw demoniczny, na którym żerują wszystkie inne polipy naszej beznadziejnej wiary w „takykę”.

Nie było jeszcze wiary bardziej irracjonalnej i bardziej obywateldziwej, jak ta wiara w rzekomą „takykę”. Nasi codziennie nie widzą, jakie ogromne i bezcenne dobro — moralne i polityczne — poświęcają dla tej swojej rozpaczliwej wiary. Wierzą. Są jak ten lankomy pies z bajki, który — biegając po klacie nad strumieniem z kawałkiem mięsa w pysku i widząc odbicie tego mięsa w wodzie — rzuca się na oślep w odmęt, by złapać także

jeszcze i ten kasek, przez co traci realny kawał mięsa, a ponadto i życie.

Bo to właśnie wiara w „takykę” — poza nieszczytną koncepcją Polski kmiotakowskiej — sprowadza nas w tę duszną depresję polityczną, w jakiej znajdujemy się obecnie. Zwolna i niepostrzeżenie zamieniamy legalny rząd na... komitet emigracyjny, od którego zadają, by połączył się dobrowolnie z agenturą obecnego rządu. Zwolna i niepostrzeżenie staliśmy się z największego wierzyciela Anglosasów — dłużnikiem, wyprzedającym się do ostalka, by spłacić swój rzekomy dług. Zwolna i niepostrzeżenie tracimy moralne uprawnienia, by w każdej nowej sytuacji międzynarodowej — która może komuś nasunąć myśl o okrawaniu Polski z kolei od drugiej, zachodniej, strony — być pełnym autorytetem odwołać się do prawa międzynarodowego, bo przecież prawo to sami w zaciętych szale mazochistycznym depczemy i odrzucamy!

Zamiast stać na uboczu jako żywy wyrzut sumienia demokracji, pchamy się w beznadziejny gąszcz konfliktów międzynarodowych, szarpani, okrawani i pomniejszani. Zamiast obce sprawy pozostawiać tym, których dotyczą — podejmujemy się sztywnego trudu spinania łańcucha, który skuje nam dłoń. Żyli nam pękają od nadludzkiego wysiłku, a zamiast pomocy dochodzą nas tylko głosy podnieconej widowni: „Nuże, nuże. Jeszcze, jeszcze!”

Konferencja moskiewska — powtarzamy: jakiegokolwiek byłoby jej rezultaty — musi dokonać przynajmniej jednego: zdjąć z nas ten czar zabijający, zerwać nam z oczu to blichot, uwolnić nas od gorączki tej wiary-niewiary w „takykę” i cuda. Jak wysiłek zbrojny żołnierza nie jest podejmowany w szale amoku, w pijanym zewidzie, ale w najwyższym napięciu wszystkich sił moralnych i intelektualnych, w skupieniu całej namiętności, na jaką żołnierza stać

— tak i działania polityczne w równie wysokiej temperaturze zdrowia i w równym napięciu najwyższych wartości ludzkich odbywać się powinno. Tego żołnierza żądają od swoich polityków, których pragnie szanować i którym gardzić może tylko z uszczerbkiem dla swojej dumy.

Żołnierz musi mieć dla swoich osiągnięć komisarza, który ten jego krwawy trud sprzeda jak najdrożej, a nie rozpuchnąc w dziłkiej hulance. Żołnierz polski — i ten na obczyźnie i ten w Kraju — ma prawo domagać się, by jego rząd z takim samym samozaparciem i tak samo trzeźwo budował Polskę, jak on sam li kwiduje wroga.

Komplementy, jakimi darzy się p. Mikołajczyka w pewnych kołach międzynarodowych, nie są ani trochę podobne do szacunku, jaki okazuje się powszechnie generałowi de Gaulle. Francuski mąż stanu znany jest za twardość, z jaką obstaje przy interesach Francji, choćby przez to trudniejsze zadania stawały przed rządami sojusznicy. P. Mikołajczyka komplementuje się jako autora maksymy, że „rozstrzygają się ważniejsze sprawy, niż przyszość Polski”. Przepaść, jaka dzieli te dwie



„Pazur” i „Pirat” w gardzieli pod Mass Albanetta (linoryt)

Ryt. St. Gliwa

Z ostatniej chwili

W dniu 11 października br. wbrew opinii Kraju i wojska p. premier Mikołajczyk w towarzysztwie delegacji polskiej udał się po raz drugi do Moskwy. Podstawą obecných pertraktacji p. Mikołajczyka było jego memorandum do rządu sowieckiego. Treść tego memorandum, według wywiadu udzielonego przez p. premiera dziennikarzom zagranicznym w dniu 31 sierpnia br. (patrz „Dokumenty” str. 4 „Orzeł Biały” nr 31 (121) z dn. 24. IX. 44), zawiera następujące zobowiązania p. Mikołajczyka:

- 1) zgodę na sojuz polsko-rosyjski, który w obecných warunkach oznacza zwasalizowanie Polski wobec Sowietów;
- 2) zgodę na zmianę granic w powojennym porządku europejskim, a w chwili obecnej oddanie pod administrację i jurysdykcję sowiecką ziem polskich położonych na wschód od linii demarkacyjnej (tzn. połowy obszaru Rzeczypospolitej);
- 3) zgodę na zmianę rządu z dopuszczeniem do komunistów na tych samych zasadach jak cztery „tronniactwa, które stanowią podstawę obecnego rządu;
- 4) zgodę na przeprowadzenie zmiany konstytucji po „wyzwoleniu” Polski, drogą powołania Sejmu w wyborach, które odbędą się „w najbliższym czasie”, a więc nawet pod okupacją sowiecką;
- 5) zgodę na zniesienie instytucji Naczelnego Wodza i zastąpienie go gabinetem wojennym z udziałem szefa sztabu.

Czy i jakie dalsze ustępstwa poczynił p. Mikołajczyk podczas obecnego swego pobytu w Moskwie, nie wiemy jeszcze.

Rozmowy moskiewskie znowu zostały przerwane.

Jak donosi agencja OWI w telegramie swym z Moskwy z dn. 19.X.br.:

„Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który brał udział w konferencji, oficjalnie dziś stwierdził, że gotów jest zawrzeć porozumienie z rządem polskim w Londynie

„Radio moskiewskie doniosło, że podstawą porozumienia będzie zgoda rządu polskiego w Londynie na konstytucję z 1921 r. i odrzucenie konstytucji z 1935 r.

„Delegacja Polskiego Komitetu Wyzwolenia po konferencji z marsz. Stalinem i premierem Churchillem powróciła do Lublina. Premier Stanisław Mikołajczyk z polskiego rządu w Londynie został poinformowany o propozycji komitetu lubelskiego. Oświadczył on, że musi naradzić się ze swym rządem w Londynie i szukać upoważnienia do kontynuowania rozmów w bliskiej przyszłości”.

Trzecia podróż p. Mikołajczyka do Moskwy oznaczałaby więc nową ustępstwa i dalsze pogorszenie warunków kapitulacji Polski wobec Rosji.

Stanowisko każdego żołnierza w stosunku do zamiarów bezprawnej zmiany Konstytucji jest określone rotą przysięgi żołnierskiej. Każdy z nas przysięgał stać na strzyż Konstytucji i honoru żołnierskiego.

Stanowisko zaś żołnierzy 2. Polskiego Korpusu w innych sprawach toczących się pertraktacji zostało zawarte w artykule „Dziennika Żołnierza A.P.W.” z dn. 3.X. br. pt. „Meldujemy Panu, Panie Prezydencie”.

formy szacunku, jest miarą zasług p. Mikołajczyka. Dla Polski pożyty on całą swoją działalnością zasług absolutnie negatywne. Jeżeliby nawet nastąpiło coś, co jego memorandum — a tym samym całą jego politykę czy, jeżeli kto woli, „takykę” — pozbawi aktualności, będziemy musieli pamiętać, że ten zwrot żadną miarą nie może być p. Mikołajczykowi poczytywany za zasługę i będziemy musieli mieć wyciągnięte konsekwencje z fiaszka polityki obecnego premiera polskiego. Jest to moment bardzo ważny, ponieważ Polacy mają skłonność przypisywać nawet deszcz — zamykający okres suszy — Bogu ducha winnej „władzy”.

Leż niemiernie dobrze musimy być przygotowaniu na ewentualność drugą — tj. że żaden cud nie nastąpi, że Rosja może nie okazać się bardziej zachłanną niż brytyjska gotowość do ustępowania z cudzych interesów. Wtedy co prawda wszyscy zauważą, że „takyka” p. Mikołajczyka nie była żadną taktyką, ale fatalną indolencją, równocześnie jednak powstanie bezradność, która może nas wszystkich uczynić współwinnymi zamierzanej w Moskwie likwidacji Polski. Gwiazdą przewodnią naszego zachowania się powinna wtedy być nienaruszalność formalna państwa polskiego, które w r. 1939 zawiązało sojusz z W. Brytanią i Świadomością; że bez możliwości realizowania celów, dla których do tego sojuszu przysięgaliśmy, walka nasza byłaby ostatecznie pozbawiona wszelkiego zdrowego sensu. Ponieważ zaś z suwerenności, wolności i niepodległości Polski nigdy nie zrezygnujemy i ponieważ do końca gotowi jesteśmy dla tych celów przelewać krew — będziemy musieli pozostawić decyzji naszym sojusznikom, w jaki sposób zechcą nam kontynuowanie walki umożliwić.

Jan Ulatowski

D. I.

ZJAZD W MOSKWIE

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Wypadki biegają dziś tak warkot, że zwykłe przeglądy tygodniowe za nimi nie podążają. Zanim ten dojdzie do rąk czytelnika, będzie on wiedział o rozmowach w Moskwie znacznie więcej niż w tej chwili niższej podpisany. Co do nas bowiem, skazani jesteśmy jeszcze na bardzo skąpe wiadomości, jakie stamtąd napływają i na dowolne w dużej mierze naświetlenie prasy obojętnej.

W chwili, gdy piszemy te słowa, konferencje moskiewskie jeszcze trwają. Zapewne W. Brytania i Rosja sowiecka mają wiele tematów do uzgodnienia. Najważniejszy dla obu tych mocarstw jest niewątpliwie problem niemiecki. Od rozwiązania trudności niemieckich — leżącego w centrum Europy — zależy w dużej mierze ułożenie się w innych sprawach nie wytyczając polskich.

Ostatnie wydarzenia wykazały, że sprawa Polski nie jest zagadnieniem, które może być sprowadzone do rokowań rządu polskiego z członkami tzw. Komitetu Wyzwolenia, nie jest nawet problemem mogącym znaleźć rozwiązanie na przyszły dzień różnów polsko-rosyjskich, ale jest sprawą wybitnie europejską.

Angielski, socjalistyczny „Daily Herald” nie bez słuszności piszą w artykule pt. „Polska”: „Jeżeli w Moskwie miałyby dojsć do układu, rozmowy winny mieć charakter wyczerpujący. Można by to osiągnąć zapowiadając powstanie przyszłego ścisłego sojuszu między W. Brytanią, Rosją i Polską. Po upadku Niemiec, gdy wspólnie całe walczące tracą aktualność, sojusz angielsko-rosyjski winien oprzeć się na innych podstawach. W. Brytania zrozumiała, że zagadnienia Europy wschodniej związane są również z interesami Imperium Brytyjskiego. Wypowiedzenie wojny Niemcom w r. 1939 nastąpiło nie tylko z powodu Polski, lecz również dlatego, iż zrozumiano, że napaść na odległy kraj Europy wschodniej może doprowadzić do napaści na W. Brytanię. Przyszły pokój nie powinien opierać się na pozdiale Europy na strefy wpływów. Winien on zapewnić państwom mniejszym możliwość i prawo decydowania o swoich sprawach na przyszły dzień międzynarodowej”.

W roku zeszłym mówiono o nas w Moskwie i w Teheranie bez naszego udziału. Wynikło z tego wiele komplikacji i nieszczyść, które zaciążyły dotkliwie na naszych sprawach. W lipcu b. r. premier Mikołajczyk udał się do Moskwy sam, bez udziału przedstawicieli Anglii i doprowadzony został do nieszczyść różnów z osobnikami z tzw. Komitetu Wyzwolenia. Obecnie w Moskwie są reprezentowane Rosja, Anglia i Polska. Pod względem formalnym jest to pewien postępek, choć stan faktyczny nadal, niestety, nie uległ zmianie, albowiem rząd polski nie jest w Moskwie uważany za jednego przedstawiciela interesów polskich.

Niefortunna metoda

Gdy powstała w polskich kołach politycznych Londynu myśl wszczęcia bezpośrednich rozmów z Rosją, polskie sfery socjalistyczne nie ukrywały, że ich zdaniem, warunkiem wstępnym do wszelkich tego rodzaju pertraktacji jest nawiazanie normalnych stosunków dyplomatycznych między Polską a Rosją. P. Mikołajczyk stanął na innym stanowisku wyrażając gotowość pertraktowania z Rosją w każdym czasie i miejscu bez stawiania jakichkolwiek warunków. Jego też stanowisko zwyciężyło — socjaliści pozostali w odosobnieniu. Nie wiemy zresztą, jak dalece bronili swego, w zasadzie słusznego poglądu. Ale stając się tak tę sprawę plan premiera Mikołajczyka musiał w praktyce sprowadzić sprawę najważniejszą — nawiazania stosunków dyplomatycznych między oboma krajami — na ostatnie miejsce w programie pertraktacji. To, co u socjalistów miało być wstępem do rokowań, w planie p. Mikołajczyka stawało się ich problematycznym wynikiem. Miało to poważnie i przykre następstwa, m.in. skazywało p. Mikołajczyka na upokarzające rozmowy z Komitetem Wyzwolenia.

Dziś — do chwili, gdy piszemy te słowa — komunikaty nie doniosły jeszcze o oficjalnym spotkaniu rządu polskiego z członkami Komitetu, choć decyzja wznowienia tych rozmów już zapadła. Konferencja w Moskwie nie wyrosła z samego pożytku rządu polskiego. Nadal jego członkowie traktowani są w Moskwie co najmniej na równi z członkami Komitetu i nadal Moskwa nie ukrywa, że uważa Komitet za „rząd”, a p. Mikołajczyka za przedstawiciela „komitetu emigrantów”. A więc np. p. Mikołajczyk nie ma w Moskwie w hotelu, a gmach ambasady polskiej okupowany jest przez Komitet Wyzwolenia, który tam urządza i gotów jest tam przyjmować premiera polskiego, jak jednego z interesantów.

Z głuchych wiadomości, które nadchodzą z Moskwy, wynikałoby, że zapadła jakoby decyzja powołania „provizorycznego” rządu polskiego, złożonego z przedstawicieli obecnego rządu i z członków Komitetu Wyzwolenia. Trudności natomiast wywołuje rzekomo sprawa wschodnich i zachodnich granic Polski.

Stanowisko nasze we wszystkich tych sprawach jest znane. Decydowanie o granicach w czasie wojny, bez udziału Sejmu i Senatu, byłoby złamaniem konstytucji. Konstytucja nie dopuszcza również do powoływania na stanowiska państwowe byłego kow. Artykuł 6 konstytucji powiada:

„Obywatele winni są państwu wierność oraz rzetelne spełnianie nakładanych przez nie obowiązków”.

Członkowie Komitetu Wyzwolenia nie są wierni państwu polskiemu, ani też nie spełniają nakładanych przez państwo polskie obowiązków.

Artykuł 7 zaś stwierdza:

„Wartością wysiłku i zasług obywatela na rzecz dobra powszechnego mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne”.

Konstytucja nie dopuszcza zatem, by na sprawy publiczne wpływały ci, którzy nie są państwem polskiemu „wierni”.

Rozwizywanie zagadnień związanych z bytem politycznym Polski należy przede wszystkim do polskich władz państwowych, których działania, obowiązki i odpowiedzialność ustala konstytucja. Na przyszły dzień za międzynarodowe problemy te mogą być rozpatrywane na drodze normalnych rozmów dyplomatycznych między Polską a zainteresowanymi państwami. Nikt z Polaków nie wyłącza również rozmów z Rosją choć nie mogą być one ograniczone tylko do Rosji. Rozmowy te wszakże nie mogą iść drogą deptania praw Rzeczypospolitej, naruszania jej integralności terytorialnej, łamania jej konstytucji, lekceważenia jej suwerenności i szargania jej honoru. Nie mogą one prowadzić do narzucania Polsce rządów nielegalnych lub wprowadzania do władz państwowych zdrajców i dezertersów. Sprawa nasza jest jasna i prosta. Nie zastępuje ona w każdym razie na to — jak stwierdzić w publicznym przemówieniu gubernator Nowego Yorku i kandydat na prezydenta S. Zjednoczonych Deway — by rozstrzygano ją w prywatnych i dowolnych rozmowach oraz poza światłem dziennym. Naród polski z takim załatwianiem swoich spraw nigdy nie pogodził się, a decyzji, które łamałyby jego prawa, nigdy nie uznabył. Konstytucja ustala tu wyraźnie obowiązki każdego Polaka i całego naszego pokolenia, które jak każde inne „obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmocnić siłę i powagę państwa”.

Bieg wojny

Ateny uwolnione. Budapeszt zagrożony. Ryga na linii frontu, który dzieli miasto wzdłuż Dźwiny, walki uliczne w Belgradzie — o to wydarzenia tego tygodnia. Znowu kilku stolicom europejskim grozi zniszczenie i pożoga. Znowu burza wojenna ugnęła tu nowe obszary.

Wyjtek stanowią tu Ateny, wyzwolone niemal bez walki po wyładowaniu wojsk brytyjskich i greckich w Piraeus. Kontrtorpedowce polskie „Garland” uczestniczyły w ekspedycji uwalniającej południową część Morza Czarnego, co uważamy za objaw szczupłości. Znalezione są wojska brytyjskich na Półwyspie Bałkańskim wysunęte wszakże nowe zagadnienia. Czy dojdzie mianowicie do powstania wspólnego dowództwa sojusznictwa angielsko-sowieckiego na Bałkanach?

Zwrotem wojennym w Europie środkowo-południowej nie łowarzyłyby zmiany w innych frontach. Nadal trwa walka o wolny dostęp do strony morza do portu w Antwerpier, czyli o ujście Skaldy i o znajdujące się tam wyspy Wal heren i Develand, nadal trwa bój o Akwizgran i nadal wojska sowieckie od Narwi (odejście Serock-Rożany) aż po Klajpedę nacierają w kierunku Prus Wschodnich, a w Kurlandzie biją się o przełęcz górskie forsując niektóre z nich, jak np. Tatarska. Czy walki te są zapowiedzią generalnej ofensywy sojusznicej? Czy też odłożona będzie ona na wiosnę, lub też ograniczy się do niektórych teatrów wojny? O tym zadecyduje sytuacja polityczna. Wizyta króla Jerzego VI na froncie zachodnim nie zapowiada ciszy, przynajmniej na nadreńskim teatrze wojny. Trwa również zadanie parcie sojuszników we Włoszech, w kierunku na Bolonję.

Nawał zagadnień polskich i europejskich sprawił, że zaniedbaliśmy poważnie w przeglądach sprawy Dalekiego Wschodu. A następują tam wydarzenia o zasadniczym znaczeniu. Japończyk widząc, że traci przewagę na Oceanie Spokojnym, podjął wielką ofensywę w Chinach wypierając armię Czang-Kaj-Szeka coraz bardziej na zachód i odciągając ją jednocześnie od Oceanu. Wznowił on również działania zaczepne na granicy Indii. Amerykanie odpowiedzieli wielką ofensywą morską i lotniczą na Formozę i Filipiny. Wywiązały się krwawe i kosztowne walki, które jeszcze trwają. Omówieniu wiążących się z tym zagadnieniami poświęćmy artykuł w jednym z najbliższych numerów naszego pisma.

Przewrót na Węgrzech

Ofensywa sowiecka na Węgry doprowadziła do politycznego przewrotu w tym kraju. Wystąpienie regenta Horthy'ego o zawieszenie broni, zamach stanu dokonany przez węgierską grupę narodowo-socjalistyczną, interwencja Niemców, dymisja Horthy'ego i odwołanie rozkazu o zaprzestaniu walki, utworzenie nowego rządu o typie rewolucyjnym, zapowiadającym ostre represje wewnętrzne — oto niektóre fragmenty rozpoczynającego się dramatu węgierskiego.

Węgry weszły w okres burz, które uderzają w ich dotychczasową strukturę społeczną i polityczną. Zarówno żywioły komunistyczne, jak i te, które obecnie doszły do władzy, pragną pozabwić wszelkiego znaczenia warstw dotychczas rządzących, pragną zburzyć dotychczasowy porządek. Wydarzenia węgierskie są nowym przejawem wstrząsów nie tylko ściśle wojennych, ale i politycznych oraz społecznych, które wojna sprowadza na Europę. Związani tytuł wspomnianymi z narodem węgierskim, ze szczerym współczuciem patrzymy na obecną jego tragedię pamiętając o przyjaźni, jaką on nam okazał po klęsce wrześniowej w r. 1939 i w latach następnych. Przyszłość Europy środkowej wymaga, by Węgry odnalazły jak najszybciej drogę swego rozwoju narodowego i by przemiany, które tam następują, nie doprowadziły tylko do zastępowania jednych wpływów obcych przez drugie.

Kłopoty gen. de Gaulle

Nie mamy bezpośrednich wiadomości z Francji. Łączność z tym krajem jest wciąż słaba, głosi jednak, które stamtąd docierają, świadczą, że Francja przeżywa trudności i że jej wewnętrzne położenie budzi obawy zarówno pod względem gospodarczym, społecznym, jak i politycznym. Przemówienie gen. de Gaulle'a z dnia 14 br. dało nie tylko silny wyraz tym rodzajem troskom, lecz jednocześnie było manifestacją wyjątkowo znamenną. Mówiąc o obecnym położeniu gen. de Gaulle oświadczył:

„Opolem 300.000 ludzi zostało zabitych przez wroga na polu bitew jak i na polach egzekucji, około 3 mil. ludzi do stało się do niewoli, lub zostało deportowanych, produkcja fabryk broni zmalała, wszystkie wielkie porty za wyjątkiem Bordeaux uległy zniszczeniu, 4 tys. maszyn wysadzono w powietrze, a nasze koleje, środki transportowe i linie komunikacyjne są niemal całkowicie sparaliżowane, nasze kopalnie znajdują się w stanie godnym pożałowania, nasze fabryki są bez paliwa i bez prądu elektrycznego, nasze narządzia rolnicze są zniszczone, nasze zapasy środków opałowych i surowców całkowicie wyczerpane”.

Z tym wszystkim — powiada gen. de Gaulle:

„Można było oczywiście sądzić, że w tych sprawach pomoc sprzymierzonych będzie połączona i szybka. Lecz przypuszczenia takie były złudne. Pierwszym obowiązkiem walczących jest wsparcie wielkiej walki, która na Francję nakłada dotkliwie ciężary i rozległe zagadnienia do rozwiązania”.

Gen. de Gaulle tłumaczył dalej swym słuchaczom francuskim iż: „moją licząc przed wszystkim na siebie”. Do wysiłku opartego o wiarę we Francję apelował dalej jej przewodca. Wysiłek ten wszakże musi odbywać się „w ramach porządku narodowego”. Co to znaczy? To znaczy, według gen. de Gaulle'a, że:

„Każdy, kto zajmuje odpowiedzialne stanowisko państwowe, jest legalnie i odpowiedzialnie i dlatego należy absolutnie pozostać kres wszelkim próbom uprowadzenia sobie władzy. Mogły one być usprawiedliwione w stosownym miejscu i

czasie, gdy spontaniczna akcja była konieczna dla usuwania wroga i jego współników, lecz które o d t a d stałyby się karygodne, niepotrzebne i wywołujące zamęt. Rząd musi wypełniać swoje obowiązki. Rząd musi i chce uznać wolę suwerenną narodu, gdy będzie ona mogła wyrazić się za pośrednictwem przedstawicieli wybranych w powszechnych wyborach. Obowiązek rządu spada tylko na organy administracyjne, podległe rządowi. One tylko mają prawo rozkazywania. Wszystkie istniejące oddziały bojowe podlegają musza jednej władzy odpowiedzialnych ministrów. Władza sądowna może być wykonywana wyłącznie przez te trybunały i tych sędziów, którzy zostali powołani przed ludem przez państwo... Wszelkie inne próby występowania w imieniu autorytetu władzy musiałby odbić się poważnie na powodzeniu wojny i na odbudowie kraju. Byłyby one skierowane przeciw spójności i międzynarodowemu położeniu Francji... Musi ona jednocześnie wysiłki nie tylko za pośrednictwem tych, którzy głoszą to w programach i przemówieniach (aby później kompromitować jedność w kłótniach, napaściach i w gorszych jeszcze wystąpieniach) lecz za pośrednictwem rzeczywistego, suwerennego i braterskiego zjednoczenia”.

„Państwo — jego sądy, jego autorytet i jego władza — są jedynie upoważnione do działania w imieniu Francji”.

Jeżeli gen. de Gaulle zdecydował się na tego rodzaju wystąpienia, to chyba dlatego, że we Francji są siły, które uzurpują sobie prawo rządu niezależnie od legalnej administracji państwa, że są tam oddziały wojskowe, które nie podporządkowują się jedynej władzy militarnej, że istnieje sądy, które wydają wyroki poza ramami sądownictwa państwowego, słowem, że rozmożniły się we Francji organizacje, które wytworzyły tam coś w rodzaju państwa w państwie i nie uznają lub uznają tylko formalnie władzę gen. de Gaulle'a. Pozostawiamy naszym czytelnikom domyślić się, kto to organizuje ów zamęt i jakie te siły nie chcą podporządkować się władzy gen. de Gaulle'a. Gluche wiadomości o niejasnej sytuacji we Francji południowej, gdzie komuniści zdobyli sobie siłą pewne wpływy w czasie okupacji, o ciężkiej sytuacji żywnościowej i politycznej w Paryżu, o zachowaniu się niektórych oddziałów „maquis”, które nie chcą podporządkować się regularnej armii francuskiej, stanowią zapewne ilustrację do wywodów gen. de Gaulle'a. Walczy on o wznowienie autorytetu państwa. Każdy zrzetliwy Europejczyk — również zależy, by Francja była krajem równowagi i porządku w uporządkowanej również Europie — musi odnieść się do wysiłków gen. de Gaulle'a ze szczerą sympatią.

Ku przewrotowi w Hiszpanii

Od pewnego czasu zaczęły krążyć wiadomości o atakach na granicy hiszpańsko-francuskiej, między hiszpańską strażą graniczną a rewolucjonistami hiszpańskimi, ściśle mówiąc komunistami, usiłującymi przedostać się do Hiszpanii, by znieść tam zamieszki i obalić rząd gen. Franco. „The Stars and Stripes” podała na ten temat ciekawe oświetlenie w depeszy z Nowego Jorku:

„Nowy krzyż, który zarysowuje się, polega na tym, że silny hiszpański i rewolucyjny ruch zamierza wnieść bunt przeciwko gen. Francuskiemu; Franco i przywrócić republikę, która została obalona w 1939 r. po jednej z największych wojen domowych znanych w historii. Agencja Associated Press donosiła, iż jest trzeczą znaną, że moskiewskie radio przynajmniej Hiszpanów do zbuntowania się przeciwko Francowi. W czasie wojny domowej Rosja wspierała rząd republikański, który zawierał w sobie odłamki komunistyczne... Ostatni rozwój wydarzeń ujawnił się, gdy Francuska radiostacja w Tuluzie donosiła, że: „Najwyższa Junta Hiszpańskiego Zjednoczenia Narodowego” — organizacja założona przez emigrantów republikańskich we Francji, zwalczających gen. Franco, wezwwała patriotów hiszpańskich do powstania. Emigranci hiszpańscy żyją w liczbie 40 tys. w południowej Francji. Oddziały ich organizacji zapuszczały zagony na terytorium Hiszpanii od dziesięciu już dni. W dniu 6 października doszło do starcia między zagonykami a garnizonami hiszpańskimi”.

Następował opis hiszpańskiej wojny domowej, jak i rzydów gen. Franco, w duchu dla niego nieżydliwym. „The Stars and Stripes” zapomniał jednak dodać, że nie

(Dokonywanie art. na str. 8)

SPRAWY POLSKIE W KSIĄŻKACH ANGIELSKICH

(Korespondencja własna „Orła Białego“ z Londynu)

Niedawno ukazała się obszerna monografia Chestertona piera Maisie Ward ^{*}. Omawia ona m.in. pamiętną wizytę znakomitego pisarza w Polsce w r. 1927 na zaproszenie warszawskiego P. E. N. Clubu. Podróż odbył Chesterton w towarzyszywej żony Frances i sekretarki Dorothy Collins; „okazano tu niezmierny entuzjazm dla człowieka, który ustawicznie podnosił wielkość Polski i jej prawdziwe miejsce w Europie“.

Chesterton zawsze pragnął napisać książkę o Polsce. Uważał, że Anglicy i Polacy mają wiele cech wspólnych, ale że Anglicy nigdy nie miał okazji zrozumienia Polaka. „Nonsensy dzienników, kiedy prawią one o tym, co nazywają polskim korytarzem“ — mówi Chesterton — „wynikają z niezrozumienia przedziobrowych dzieł Polski. Poza tym Anglicy nie zdają sobie sprawy, że Polacy zawsze muszą wybierać „po między dwójem złego (the Poles always have a choice of evils)“: Piłsudski powiedział Chestertonowi, że z dwojga złego woli Niemcy, a Dmowski reprezentował bardziej powszechną opinię, że z dwojga złego lepsza jest Rosja. Tak czy inaczej, Polska — będąc panią swoich losów — przechodziła chwile niezwykłego szczęścia. Odrodzenie rolniczego kraju następowało „zdumiewająco szybko“.

W liście do matki, pani Chesterton skarży się nieco na obfitość obiadu wydanego przez P. E. N. Club, ale podkreśla, że „mowy były zdumiewająco doskonałe (perfectly marvellous), wygłoszone całkiem potężną angielszczyzną i bardzo dowcipne, przy czym ujawniały taką dokładną znajomość dzieł Gilberta, jakiej nie posiada żaden z moich znajomych Anglików“.

Chesterton wiele rzeczy widział w Polsce, ale najbardziej utkwił mu w pamięci epizod następujący. Pewien młody ziemianin opowiedział pisarzowi, że wprawdzie jego dom w ogniu walk został zniszczony przez żołnierzy bolszewickich, jednak żywi on do nich żal tylko za jedną rzecz: „Zaprowadził nas długą aleją topolową do posągu Matki Boskiej; miała odstrzelone głowę i ręce. Ale ręce były podniesione do góry; i rzecz dziwna: wydawało się, iż okaleczenie nadaje większy sens postaci wstawianictwa, próbie o litosie dla bezlitosnej rasy ludzkiej“.

Sympatie Chestertona dla Polski ujawniają się w całej jego ożenności publicystycznej. Ujawniały się szczególnie w okresie prac nad traktatem wersalskim. Stanowisko swoje określa Chesterton jasno w liście otwartym do Rufusa Isaacs'a („New Witness“ z dn. 13 grudnia 1918 r.), który jako delegat brytyjski miał towarzyszyć Lloyd George'owi na konferencję pokojową. W Isaacs'em zmierzysł się już raz Chesterton, kiedy to organ jego brata, Cecilia, pierwszy ujawnił alery Marcmoniego, do której Rufus — podówczas prokurator naczelny, w okresie wojny przeszedzają najwyższego, potem wicekról Indyj — przez nabycie akcji tego towarzysza był zamieszany. Mianowanie Isaacs'a delegatem na konferencję pokojową — pisze biografka Chestertona — oznaczało niebezpieczeństwo dla Polski. Hyczo się bowiem z dążeniem międzynarodowej finansjery do podtrzymania Niemiec. Zastanawiając się, w jaki sposób mogło się stać, że Rufus Isaacs, „zbiłąkany makler giełdowy“, mógł narodowi angielskiemu narzucić siebie jako najwyższego lorda sprawiedliwości, pisze Chesterton, iż nie chodzi o to, „do jakiego stopnia Pan się nam podoba, ale do jakiego stopnia Pan się nam podoba: albo też, czy podoba się Pan nam bardziej niż Anglia, bardziej niż Europa, bardziej niż Polska — filar Europy, (podkr. red.) bardziej niż honor, bardziej niż wolność, bardziej niż fakty“. Zgadnienie, czy Anglia przegra wojnę, którą już wygrała, wiąże się ściśle z zaspokojeniem narodowych pretensji Polski. „Czy znajdzie się ktoś, kto ma wątpliwości, że międzynarodówka żydowska nie sympatyzuje z wszystkimi dążeniami narodowymi Polski? I czy znajdzie się ktoś, kto ma wątpliwości, że Pan będzie sympatyzował z międzynarodówką żydowską?“. Pełen gorzycy, sarkazmu i zjadliwości list kończy się wezwaniem: „Danielu, synu Izaaka, odejdz w pokój, a odejdz“.

W tym czasie żona brata Chestertona, Cecilia, który podł na polu chwały, odwiedziła Polskę i w szeregu reportażi ukazała walkę Polaków o życie i wolność. W „New Witness“ pojawiają się artykuły publicz-

stw polskich. W redakcji tego pisma — dodaje Maisie Ward — nie było na pewno nikogo, kto był takim ignorantem, jak Lloyd George, który nie wiedział, gdzie znajduje się Cieszyń. Na tym zresztą polegała tragedia Wersalu. Reprezentanci Ameryki i Anglii nie orientowali się należycie w stosunkach europejskich. Nawet Wilson był doktrynerem, który przekładał mętne koncepcje Ligi Narodów nad rzeczywistość, jak Polska czy Włochy. „New Witness“ powtarza ustawicznie, że tylko od jednej rzeczy zależy stać pokój w Europie: od usunięcia Prus z ich przodniczego stanowiska w Rzeszy — Polska, Włochy i Francja muszą być silne. Niestety, „zarówno Lloyd George jak Wilson byli nastawieni zbyt antykatolicko, aby sympatyzować z katolicką Polską (jesli chodzi o Lloyd George'a, trzeba mowic o nie n a w i e ś c i do Polski)“; Lloyd George działał „wściekle (savagely)“ przeciw przyszłej Polsce. Belloc przepowiadał, że z pokójki wersalskiego zrodzi się wiele wojen. Wprawdzie Czesi dostali wszystko,

możności udzielenia tej pomocy ani Zachodowi ani komukolwiek. Chesterton dodaje, że polski port jest jedynym miejscem na całym świecie, które powinno być utrzymane, i że to właśnie miejsce zostanie 1930-dane. Machinacje antypolskie przypisywał pisarz międzynarodowej finansjery twierdząc, że prawdziwie angielska opinia publiczna nie ma z tym nic wspólnego. Prawdziwa Anglia dochodziła do głosu na polach bitwy: dzięki przelanej krwi angielskiej krzyż zastąpił półksiężyc w Jerolimnie, Alzacja i Lotaryngia wróciła do Francji, a Polska zmartwychwstała.

Chesterton przypomniał, że Polacy powstawali raz po raz, kiedy trzy kolosalne mocarstwa nie chciały dopuścić, aby stali się oni narodem. Zdrowy rozsądek nie pozwala przypuszczać, że jeżeli uczyni się ich półnarodem, nie będą pewnego dnia próbować stać się całym narodem. „Ale wtedy wrócimy tam, skądśmy wyszli, po nowym okresie terroru i udręki i ohydnych jak te — wrócimy tam gdzie moglibyśmy —

początku choć przez jedną chwilę ukrywali przed Niemcami swoje przekonanie, że pewnego dnia warunki się odwrócą i że odzyskają to, co utracili? A wiedzicie, jakie nowiny otrzymują z domu! Prowadzą dalej wojny, nikt im nie pomaga, a oni się nie poddają, bo wiedzą, że poddanie się nie wyszłoby im na dobre, lecz tylko przedłużyłoby... Szwabry nie znalazły Lavala ani w Belgii, ani w Holandii, a już na pewno nie znajdują w Polsce“.

Baraki polskich jeńców odznaczały się „niemal prowokującą czystością (almost aggressive neatness)“, ożywiały je duch dobrowolnej dyscypliny; było w tym wyzwaniem racjonalne Niemcom a jednocześnie dążenie do utrzymania poczucia godności. W barakach tych „salutowano podoficerów i śpiewano melancholijne pieśni; jak w domach prywatnych, nie wolno było wchodzić w czapkę“.

Guerlain mówi obszernie o transporcie trzystu kobiet wywiezionych z Polski a trzymanych w izolowanym baraku w drodze na miejsce przeznaczenia. Zostały one porwane na chybił trafił z małego miasteczka w czasie niedzieli wielkanocnej; reprezentowały wszystkie klasy społeczne; znajdowały się wśród nich dwunastoletnie dziewczynki. Przybyły w stanie godnym liłości, w śmiertelnym strachu. Półkownika — lekarza (u Guerlaina nazywa się Kluge), człowieka przyzwoitego, który miał poddać kobiety oględzinom, poinformowano, że z własnej woli zgłosił się one na roboty w Niemczech. Od jednej z „ochotniczek“, żony wysokiego urzędnika polskiego, półkownik dowiedział się całej prawdy. W pierwszej chwili był tak oszołomiony, że nie mógł wypowiedzieć słowa. „Potem nagle wybuchnął w obecności lekarzy — Francuzów i kobiet — Polek, „Schweiner! — zagrzmiął — Ha! Ha! i wstyd. I oni mówią, że przynoszą kulturę do okupowanych krajów!“. Kluge powierzył dalsze badania lekarzom francuskim i udał się do komendanta obozu. Lekarze francuscy zorganizowali wśród jeńców zbiórkę żywności dla godzących kobiet, a Kluge własnym samochodem przewiózł je do kobiecego baraku.

O odwadze Polaków

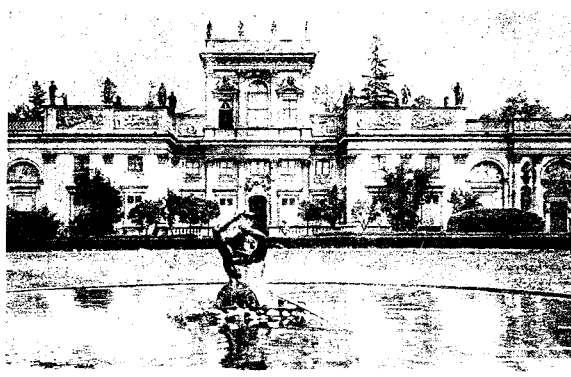
W książce Roberta Henreya „The Incredible City“ ^{*}, która daje barwny obraz Londynu czasu wojny, znajdujemy — podobno brak w wydanej przed laty legoś autora „A Village in Piccadilly“ (o Shepherd Market) — liczne wzmianki o Polakach i Polkach, z którymi autor się zetknął, których widział i słyszał lub obserwował.

Z okazji tragicznej śmierci gen. Sikorskiego, Henrey cytuje opowiadania pewnej Bretonki, która — pełna „podziwu dla tej dzielnej rasy“ — spotykała się z Polakami w czasie swego pobytu w Madrycie. „Wielu z nich miało już za sobą straszliwe przeżycia, ale natchmianymi na przybyciu robili wszystko, by jechać dalej, a gdy informowano ich, że mają czekać kilka dni na bezpieczną podróż, rzucali okiem na mapę i tego samego dnia wyruszyli na piechotę do Lizbony“. Znana jest bajka o Tomciu Paluchu, porzuconym przez rodziców w lesie i znaczący sobie powrotną drogę przy pomocy kamyczków czy okruszyn chleba. Pewna młoda Polka odbywała podróż z Madrytu do Lizbony w towarzyszywej kilku rodaków. Gdy trzeba było zorientować się w położeniu, zostawiała towarzyszy ukrytych w lesie, sama zaś udawała się do pobliskiego miasteczka. Wiązanki kwiatów, porzucane na ścieżkach i przywiązywane do gałęzi drzew, wskazywały jej potem drogę do kryjówki.

„Są ludzie, którzy mówią o tej pogardzie dla niebezpieczeństwa jako o nowym ryśie w charakterze Polaków“. Ale nie jest to prawda — zaznacza Henrey przypominając fragment z pamiętników księżnej Abrantes, poświęcony wędrownemu 18-letniemu oficerowi nazwiskiem Ledwicki (Leszczyński?) z Madrytu do Lizbony. Przebrał się za Rosjanina, ale wojska gen. Castanos schwytały go na trzeci dzień. Poznał go pewien chłop, który dostarczał furazę do Madrytu dla armii francuskiej i któremu właśnie Leszczyński wydał pokwitowanie. Jeńca poddano tygodniowemu torturom, zastawiano najprzemysłniejsze pułapki — „niewiarygodne san'froid“ ocalło Polaka. W końcu uwierzono jego zeznaniom i pozwolono na dalszą wędrowkę do Lizbony.

Scrutator

^{*} The Incredible City. By Robert Henrey. Londyn, J. Dent, 1944; str. 6 pl i 195 i 3 nl i 1 tabl. 8.



Pałac w Wilanowie

czego chcieli, d'Annunzio zaś zdobył dla Włoch Fiume — ale Polska nie osiągnęła swoich celów. Zawierają ona sprzymierzeńcom i czekała na rezultaty konferencji pokojowej — w tym właśnie czasie Niemcy przesładowali i wypędzili Polaków z Prus Wschodnich. „Lloyd George i Churchill — pisze dalej autorka — wysłali korpus ekspedycyjny do Archangielska na pomoc „białym“ Rosjanom, ale gdy bolszewicy najechali Polskę, nie udzielono jej poparcia. Podobnie sprzymierzeni nie zaopatrzili Polski w przyrzeczonej jej surowce, potrzebne do odbudowy życia gospodarczego. Nasze pisma ustawicznie donosiły o pogromach w Polsce. W rzeczywistości dokładne badania, przeprowadzone przez pisarzy z „New Witness“, nie mogły wykryć żadnych pogromów w miastach, których nazwy podawano“.

W kwietniu 1919 roku Chesterton w mocnych słowach przepowiedział, jaka przyszłość czeka Europę, jeżeli odmówi się Polsce prawa do potęgi. Zachodowi grozi zemsta Niemiec i anarchia Rosji: jeżeli po naszej stronie nie znajdzie się chrześcijański i rycerski pułkier, jakim jest Polska, „b, dziemy mieli na karku pół Europy i, być może, pół Azji“. Jeżeli Polacy uzyskają Gdańsk i bezpieczną linię komunikacyjną z Zachodem, b, dą skorzy do udzielenia temu Zachodowi pomocy. Jeżeli Gdańsk nie uzyskają, nie będą mieli powodu i

w pokójki i całkowicie bezpiecznie — stać mocno dzisiaj“.

Francuz o polskich jeńcach

Autor książki „A Prisoner in Germany“, występujący pod pseudonimem Roberta Guerlain ^{*}, w czasie swojej niewoli w Niemczech miał sposobność zetknięcia się z jeńcami polskimi. Pisze o nich w słowach najwyższej sympatii i uznania. Postawa jeńców polskich odpunderia Francuzów, którzy katastrofę roku 1940 przeżyli niezwykle tragicznie. Pierwsze spotkanie z żołnierzami polskimi w Trewirze „pokazało nam, że można być jeńcem, nie będąc jednocześnie podłym i że możemy podlegać Niemcom nie dopuszczając ich do górowania nad nami. Polacy pokazali nam również, że Francja, aczkolwiek pobita, zawsze pozostanie źródłem nadziei dla innych narodów europejskich. Wiara ich w nasz kraj, przyrzana postawa, pokrzepiła nas nieco“... Także w rozmowach jeńców w obozie, optymizm Polaków podnosi wszystkich na duchu. Nauczyciel nazwiskiem Vigny, piętnując politykę Petaina mówi: „Czy Polacy czolągają się przed Niemcami? Czy od samego

^{*} A Prisoner in Germany. By Robert Guerlain. Londyn, Macmillan, 1944; str. VIII i 2 nl i 161 pl.

ARTUR MIĘDZYRZECKI

MODLITWA WARSZAWSKA 1944

Oto posągu rozbity kamień,
Oto umarte ulice.
Święta Maryjo, módl się za nami
O amunicję.

Oto bezduszny serca egzamin,
Oto podwakroć ruiny.
Święta Maryjo, módl się za nami
O karabiny.

Oto nam huczą strzały armatnie,
Na szaukach Żelaznej Bramy,
Święta Maryjo, w pałbie ostatniej
Módl się za nami.

Gdzieś są granice ludzkich doświadczeń,
Gdzieś jest zapłata rozwalin?
Święta Maryjo, nikt tu nie płacze,
Gniew tu się pali.

Noc nam śmiertelne okrywa rany —
Nim świt odsłonił nas błądy,
Święta Maryjo, wstąp razem z nami
Na barykady.

Wrzesień 1944.

^{*} Gilbert Keith Chesterton by Maisie Ward. With thirteen illustrations. London, Sheed and Ward, 1944; str. VI i 2 nl i 574 i 2 nl i tabl. 8.

Echa polskie nad Tybrem

(Z prasy włoskiej)

„L'Osservatore Romano”, organ watykański, poświęca nadal stosunkowo największe miejsca w swym dziale zagranicznym sprawom polskim. W rubryce „Głosy i echa” ukazała się ostatnio notatka p.n. „Niewinni” poświęcona tragicznemu losowi ludności Warszawy. Oto treść notatki:

Donoszą nam z Berna, że z obozu koncentracyjnego w Pruszkowie przybyła tam pewna obywatelka szwajcarska. Opuściła ona Warszawę 10 września, a 10 dni spędziła w Pruszkowie.

Oto jej opowieść: „Wyszliśmy z Warszawy pieszo, w długiej kolumnie wielu tysięcy osób, różnych klas, wieku i warunków. Ostatni dzień spędziliśmy w podziemnym Muzeum Narodowym, które jest zupełnie spalone. Szliśmy cały dzień okrążając miasto, ażeby dostać się na stację, gdzieśmy spędzili noc wśród gruzów. W drodze zatrzymaliśmy się wielokrotnie, ażeby pogrzebać leżące na ziemi trupy; a również i w naszych szeregach padali ludzie. Następnego dnia doiliśmy się wreszcie do Pruszkowa. Nie dano nam nic do jedzenia, ani do picia. W Pruszkowie znajdowały się baraki, w których spaliliśmy na śmieć, rozłożoną na ziemi. Zostaliśmy cztery dni bez żadnego pożywienia. Później Polscy Czerwony Krzyż rozdzielali nam dwa razy dziennie zupę. Ludność miejscowa chciała nam pomóc, ale straż nie pozwalała i strzelała do każdego, kto by się zbliżył. Widziałam rannych, których rany owiane były gazetami. Wiele dzieci urodziło się tam i wiele umarło. Niepodobna sobie wyobrazić rozpacz wszystkich tych ludzi, wydzielanych w łachmany, którzy nie mogli się umyć, ani obronić przed zimnem i głodem. Było nas parę tysięcy osób w obozie. Niebawem całą młodzież kobiecą i męską zabrano do robót w Niemczech. Widziałam sceny rozdzielające kicdy córki, nieraz po zesnaśnięcie lat, wyrwanemu matkom, do których się przytuliły. Kiedy udało mi się wyjechać z Pruszkowa, obóz ten zamieniono na przejściowy. Oto dlaczego oznajmiono, że zostali rozwiązani i że nie ma w nim więcej niż 4.000 osób. W rzeczywistości obóz zawsze istnieje, ale więźniów są ciągle nowe. Tysiące osób co dzień przejeżdżają. Kto tylko zdrów, wywieziony zostaje do Niemiec. Rodziny zdają sobie sprawę z tego, że się rozdzielają na zawsze”.

„Charakterystyką tej strasznej wojny, przeczącej podstawom cywilizacji, jest nierozróżnienie ofiar. Zasada ona podlega za sobą inną potworność: jeśli ludność cywilna służy jej za taki sam cel, jak wojsko, miasta za okopy i fortece, na cywilnych spada największy ciężar wojny. A więc właśnie na chorych, na spokojnych, dzieci, kobiety, tych wszystkich, których chrześcijaństwo uważało za netykalnych nawet w okresie najzaciekniejszych wojen: tak ze względu na ich ilość, jak na niemożność obrony, która posiada uzbrojony i walczący. Co więcej: właśnie chorych i bezbronych porównano nieuchronnie do konfliktu i czy to, gdy padają pod jego beznamiętnymi ciosami, czy też gdy się ich usuwa — nie przez litość, ale z racji wymagań wojennych — zawsze cierpią oni w sposób równie okrutny.

„Jeśli historia będzie chciała nadać i tej wojnie nazwę, nie znajdzie lepszej, od owej tragicznej, biblijnej: „rzeź niemiętników”.

II Tem p o zajęto się na te walki Warszawy stosunkami polsko-sowieckimi na szerszej płaszczyźnie:

„Dlatego zagadnienie rosyjsko-polskie — czytaliśmy — zmierza do nowego zaostreżenia pomimo nacisków i interwencji z różnych stron oraz łagodzących słów tu i tam wypowiedzianych. Dzisiejszy wypadek przypomina sprawę Gdańska: chodzi tu prawdopodobnie jednak o coś więcej, niż o zwykłą analogię.

„Również wówczas w r. 1939 mogło wydawać się profanum, że uda się sprowadzić załęg niemiecko-polski do spraw Gdańska i „korytarza”, znaleźć rozwiązanie kompromisowe a uniknąć ogólnego pożaru, który logicznie wydawał się nieproporcjonalnie wielki wobec tak nikłej na pozór sprawy.

„W rzeczywistości jednak poprzez zagadnienie granic Polska decydowała o swoim losie, o tym, czy będzie państwem niezależnym, czy też osadzonym w wasale Niemiec (już to raz zdarzyło się przy zwłaniu granic czecho-słowackich w Monachium). Po prostu zaś kwestię polską decydował się los równowagi europejskiej w obliczu hegemonii niemieckiej. Gdańsk był igłą w wagi między Europą demokratyczną a narostową wojną, między niemieckim wysięgiem ku wojnie prewencyjnej, a angielsko-francuskim dążeniem do dobrobytu się w celach

obronnych. Załęg ideologiczny szeptął się i splątał z rywalizacją wielkich potęg.

„Dzisiaj nie chodzi już o wspólną platformę w wojnie antynazistowskiej, Polska jednak zachowała nie tkniętą swoją wartość polityczną — strategiczną w ramach nowego porządku europejskiego. Stanowi ona pierwszy kamień próbnący przynieża Anglosasów i Rosjan wobec planu jutrzejszego pokoju.

„Z przebiegu wydarzeń wynika jasno, że na ten temat nigdy nie było ścisłego porozumienia między członkami koalicji antyniemieckiej:

„Oficjalnemu rządowi polskiemu, przebywającemu w Londynie, sprzymierzonoemu z W. Brytanią i walczącemu przy jej boku na różnych frontach, Moskwa przeciwstawiła „kmitet wyzwolenia”, któremu przyznała wyłączność praw i reprezentacji.

„Nie chodzi więc już tutaj o sprawę granicy wschodniej partii na słynnej linii Curzona. Linij tę trzymała się sowiecka polityka, nieugięta i zasadniczo logiczna od czasu umowy rozbrojonej zawartej z Niemcami aż po dzisiejsze aneksje, dokonywane w imię bezpieczeństwa strategicznego. Motywy te uznane zostały również przez Churchill, tak że mimo trwającego oporu polskiego sprawę granicy wschodniej można by uważać za przesądzoną. Poprzez sprawę wyboru pomiędzy rzędem a „Komitetem” chodzi wszakże o ustalenie położenia i politycznej orientacji Polski w ramach Europy wschodniej i porządku kontynentałnego. Jest to jeden z owych klasycznych przykładów, kiedy polityka międzynarodowa zlewa się z polityką wewnętrzną, czyn-

niką zaś społeczne oraz ideologiczne splątały się z etnicznymi i historycznymi, a także narodowymi.

„Zasadniczo należy odróżnić dwa punkty widzenia: społeczno- wewnętrzny i państwowy i międzynarodowy. Politykę ekspansyjną i narodowego bezpieczeństwa może prowadzić równie dobrze państwo komunistyczne jak i państwo liberalne, ideologia bowiem musi oprzeć się o konkretną rzeczywistość, o twardy materialny grunt i iść za jego prawami oraz wymaganiami praktycznymi (ekonomicznymi, strategicznymi itp.). Sama Rosja Stalinia daje nam dzisiaj przykład polityki ideologicznej partii o rzeczywistej etniczno- narodowej rosyjskiej i wypełniającej wymagania obrony i ekspansji narodu rosyjskiego. Ale właśnie dlatego nie jest zawsze łatwo rozróżnić w dziedzinie faktów to, co różniło się w dziedzinie abstrakcji.

„W dziedzinie faktów Polska „komitetem” w Lublinie, dzięki jego wyzom społecznym oraz ideologicznym, wzbudziła odczywiście w Moskwie więcej zaufania niż Polska pułkowników, która mogłaby znów odrzucić się, jak już raz odrzuciła się w obrębie Polski demokratycznej, narodowej, gwarantowanej wczoraj przez traktat wersalski i Ligę Narodów, a dzisiaj przez przyzrymie polsko- angielskie i Kartę Atlantycką.

„Zrozumiałe więc, że choćby tylko na terenie dyplomatycznym, Polska stanowi dzisiaj ośrodek wielkiego sporu, spór ten ma dowieść, jakie mają być i jakie chcą być rozmiary wpływu w Europie Rosji, która pragnie zabezpieczyć się przeciw nowej

groźbie niemieckiej i zachodniej przez rozciągnięcie kontroli obejmającej pas przejściowych państw mniejszych od wpływu polityki angielskiej i zachodniej w ogóle. Polityka (a zaś dąży co najmniej do utrzymania pewnej równowagi europejskiej i zachowania dla demokracji o typie zachodnim sfery nietykalnych.

„Sprawa polska świadczy, że choć nie mówi się o wojnie, pozostaje otwarte zagadnienie znalezienia granic między oboma tymi światami a na ruinach świata nazistowskiego. W wyjaśnieniu wszakże tego zagadnienia powinny wzięść udział także strony zainteresowane...”

„Na ich bowiem ciele — na ciele całej Europy — dwie potęgi pozaeuropejskie rozciągają dzisiaj nowe porządki. Ze swymi granicami otwartymi i nie zakreślonymi oraz swą mieszaną ras; ze swymi kontrastami pomiędzy misją idealną i wewnętrzną słabością; ze swymi aspiracjami wahałymi się od matki do wielkiej potęgi; z niepewnością co do kierunku ekspansji: na wschód, na zachód, czy na południe; ze swą cywilizacją chrześcijańską i katolicką wśród światła akatolickiego i często antychrześcijańskiego, ze swymi niewiarygodnymi społecznymi i zamowianiem do przynędy; z licznymi rozbiorem i heroiczną wolą jedności — Polska jest niemal zwierzchnikiem romantycznym i rycerskim starej Europy i jej nie kończących się sporów wewnętrznych i zewnętrznych. „Walczymy za wolność waszą i naszą” — mówią odeszy polskie. Nigdy może hasło to nie było tak głęboko i boleśnie prawdziwe”. D. I.

ZJAZD W MOSKWI

(Dokończenie ze str. 6)

tak dawno zarówno min. Eden, jak i premier Churchill złożyli szereg oświadczeń na temat Hiszpanii, z których wynikało, że po różnych nieporozumieniach doszło do zbliżenia pomiędzy W. Brytanią i Hiszpanią i że Londyn wypowiedział się nieduwznanie, co do utrzymania rządu gen. Franco, po zerwaniu przez niego zbyt ścisłych węzłów z Niemcami — a w każdym razie przeciw mieszaniu się w wewnętrzne sprawy Hiszpanii.

W szczególności warto tu przypomnieć przemówienie premiera Churchilla z dn. 24 maja br., którego ustęp o Hiszpanii wywołał gromką dyskusję w prasie międzynarodowej. Premier Churchill wywołał wówczas obszernie, jak znaczne usługi oddała Hiszpania gen. Franco narodom sprzymierzonym pozostając neutralną i tej wojnie i nie udając różnym niebezpiecznym despotem niemieckim „Dlatego też — mówił p. Churchill — nie sympatyzuję z tymi, którzy uważają za rzecz mądrą, a nawet dowcipną, znieważać i łżyć rząd hiszpański przy każdej sposobności”. Po wyrażeniu zadowolenia z dojścia do porozumienia między rządami brytyjskim i hiszpańskim w szeregu spraw aktualnych, premier Churchill tak zakończył uwagi swe na ten temat:

„Wobec tego, że wygłaszam dziś tełe uprzejmych zdań o Hiszpanii, pozwolmie mi jeszcze dodatkowo wyrazić nadzieję, że wywiierać ona będzie silny polityczny wpływ na pokojowy układ w kręgu Morza Śródziemnego. Wewnętrzne zagadnienia hiszpańskie należą do samych Hiszpanów. Nie jest to nasza sprawa — to znaczy rządu brytyjskiego — wtrącać się w te rzeczy”.

Nie nie wskazuje, by stanowisko rządu brytyjskiego zmieniło się od tego czasu. Dzisiejsze apele radia moskiewskiego, wywołujące do rewolwy w Hiszpanii, noszą zatem charakter całkiem niezależny i samodzielny...

Czytamy w „Eight Army News”: „Donoszą z Moskwy, jak powiada Reuter, że rząd perski postanowił do końca wojny nie przyznawać koncesji naftowych. Tass, sowiecka agencja prasowa, podała z Teheranu, że decyzja rządu perskiego została przez większość pism potępiona. Nie była ona również zgodna — pisał Tass — z opinią publiczną, która popiera politykę udzielania koncesji i uważa zaofiarowane warunki za korzystne. Donoszą też z Teheranu przed miesiącem, że w Persji przebywa misja sowiecka, która ontawia sprawę ewentualnego uzyskania koncesji. Doniesienie zaznaczało dodatkowo, że przedstawiciele dwóch spółek naftowych, pochodzących z dwóch innych wielkich mocarstw, przelżywali od paru miesięcy w Persji i prowadzili rokowania z rządem perskim”.

Podajemy tę wiadomość bez komentarzy.

Chichot szatanów

Gdy dowiadujemy się o wszystkich tych wydarzeniach, gdy patrzymy na materialną ruinę Europy oraz na trwającą na kontynencie chaos moralny i polityczny, gdy obserwujemy słabość, a nawet załamanie się tych warstw, które dotychczas przewodziły narodom, gdy wreszcie wsłuchujemy się w odgłosy rewolucyjne, wykorzystywane lub wprost kierowane przez określone politykę, wówczas lepiej rozumiemy goręcy apel premiera Churchilla o jak najszybsze zakończenie wojny przez jak najszybsze zmazdzenie Niemiec. Każdy złybiec musi sięgnąć do żołnierzy wojsk zwyciężających, które katastrofy, która zawisła nad Europą, walczyć będzie szanse czynników wyrotowych. Tym samym zapewne myłowym kierował się marsz. Smuts, gdy mówił niedawno w Johannesburgu: „Najlepszym wkładem, jakiego możemy dać do pokoju, jest zakończenie wojny możliwie najwcześniej”.

Tymczasem Niemcy i nie tylko Niemcy chcą wojnę przedłużyć, a ponadto ją zradycalizować. Wszystkie apele propagandy niemieckiej do żołnierzy Wehrmachtu i do ludności Rzeszy wychodzą z założenia, że Niemcy walczą o czas, że prowadzą wyścig o przetrwanie. „Byle do wiosny!” — krzyczą propagandyści niemieccy.

Jednocześnie nie wahają się głosić hasel wręcz nihilistycznych wywołując kraj na wypadek konieczności do pełnego samozatracenia. Symbolem walki prowadzonej w ten sposób jest beznadziejna obrona Akwizgranu. Niemcy skazali to pierwsze większe swe miasto graniczne o wielkiej przeszłości historycznej raczej na zniszczenie niż na wydanie wrogom. Oczywiście względy strategiczne nakazują trzymać Akwizgran, ale w danym wypadku Niemcy sami przyznali, że desperacka jego obrona ma być przykryciem dla całej ludności Niemiec. Tak ma się dzieć we wszystkich miastach i wsiach niemieckich, do których dojdzie nieprzyjaciel.

Gen. Dietmar w jednej ze swych plegadek radiowych stwierdził, że wojna ulega „radycalizacji” i że żołnierz niemiecki musi do tego dostosować swe postępowanie. „Musimy mówić o radykalizacji wojny jako o konieczności, która spada na nas, to znaczy musimy patrzeć na to sprawy jak na nakaz przeprowadzenia rewolwy naszej koncepcji o gwałtownej tej wojnie”. Wszystkie motyły wiążące nas z wielkim burżuazyjnym zabezpieczonej własnością i ustalonych, nie budzących wątpliwości warunków życia, zostały zerwane od czasu traktatu wersalskiego i wskutek tego traktatu... Pogadanka kończyła się tonieniem krokodylich też nad upadającą „cywilizacją zachodnią”.

Min. von Ribbentrop w przemówieniu z dnia 27 września mówiąc o satelitach Rzeszy wywołał m. in.

„Kierująca klasa burżuazyjna (tych narodów) psychicznie nie dorastała do wysokości zadań, które spadły na nas w związku z obrzyminanym obecnym zatargiem ideologicznym... Jestem przekonany, że każdy Niemiec wolałby dziesięćkrotnie odepnieć śmierć, niż wydać choćby pięć niemieckiej ziemi.

Goebbels w „Das Reich” z dnia 29 września pisał m. in. „Wojna osiągnęła szczytów dramatyczny punkt... Bez drżenia i bez wahań nasi żołnierze muszą rzucić się przeciw nawałce wroga stojącego u granic Rzeszy, a za nimi całej nas lud must stanąć jak jeden mąż, zdecydeterminowany i gotowy na wszystko... Wrogowie nasi muszą wiedzieć, co ich czeka, gdy będą posuwali się metr za metrem na naszą ziemi... Many właśnie bronić świętej ziemi naszej ojczyzny, gdyż tuż za linią frontu są niemieckie miasta i wieś, w których żyją nasze kobiety i dzieci. Jeżeli otworzymy drogę, istoty te będą stracone. Jeśli wpadną w ręce wroga, wtedy narazem będą na głod, pędzę, terror i brutalny despotyzm. Każdy wykręt od najwyższego wysiłku, by uchronić je od tego losu, będzie objawem Jajdactwa. Walka nasza musi być popierana gorącą fanatyczną wiarą w naszą sprawę i namiętną nienawiścią do wrogów”.

Nowy zaś „premier” węgierski, Szalassy, wyznawca doktryny narodowej i socjalizmu, w rozkazie do narodu węgierskiego powtórzył hasła złuzone przez berlińskich apostołów: „Podstawą zasadą naszej walki jest niszczenie luł też ulegnięcie zniszczeniu”.

Nuta nihilizmu, niszczenia innych i siebie, jakiegoś fanatycznego samozatracenia wzięła dziś ostatecznie górę w obozie niemieckim. Jeżeli Niemcy mają ginąć, niech i Europa ginie wraz z nimi — powtarzają oni za Hitlerem. Przedłużenie beznadziejnej dla Rzeszy walki leży więc na linii planu berlińskiego. Lecz czy tylko berlińskiego? W „Il Tempo” z dnia 18 października czytaliśmy taką notatkę:

„B.B.C. (radio brytyjskie) oznajmiło wczoraj wieczorem, a wiadomości ta została dalej podana przez radiostację krajów sprzymierzonych — że w Moskwie mówi się, że byłoby rzeczą korzystniejszą odłożyć wielki ofensywę do wiosny przyszłego roku, okresu, kiedy można by osiągnąć ostateczny sukces kosztem znacznego mniejszej niż w okresie rozpaczyznającej się już wiosny”.

A więc w Niemczech i w Rosji zgadzają się przypadkowo na odłożenie rozstrzygnięcia do wiosny. A tym czasem wynędziała i podmianowa rewolucja Europa? Czyi szczyście już chichot szatanów?

Wszystkie narody europejskie o podstawach cywilizacyjnych chrześcijańskich winny przedwstawie zagładzie nihilistycznej swą wiarę i swą energię twórczą i bezkompromisową. D. I.

STANISŁAW JANIKOWSKI

KOPERNIK W BOLONII

I.

Wypadki wojenne zwróciły uwagę wszy-
stkich na Bolonię. Miasto więc i kościo-
łów, ulic biegnących pod portykami. Ten
sam charakter miała ona u schyłku XV w.,
gdy przybył do niej na studia młody Mi-
kołaj Kopernik. Miasto, a zwłaszcza jego
uczelnia, żyły intensywnym życiem umy-
słowym we wszystkich niemal dziedzinach
renesansowej wiedzy: filozofii, filologii
— zwłaszcza greckiej, astronomii. Naj-
mniejsi może nowe prądy myślowe odbiły się
na studiach prawnych, stanowiących
właśnie cel Kopernika. Ludzie odrodzenia
rozwijali się zdumiewająco szybko i
wszechstronnie. 23-letni Mikołaj Kopernik
miał już za sobą studia w Krakowie, był
młodym uczniem. W czasie pobytu we
Włoszech zajmował się pracą prawa kano-
nicznego również astronomią, medycyną,
filozofią, językiem greckim, a jeszcze w
Krakowie uczył się malarstwa, by robić
szkice w czasie pobytu we Włoszech.

Ta różnorodność jest tym bardziej zdumie-
wiająca, że geniusz Kopernika nie miał
w sobie nic z bliskiokopiowej improwizacji.
Oparty był na wytrwałej, drobiazgowej pra-
cy i na umiłowaniu prawdy ponad wszyst-
ko. Nie miał w sobie poornie nie świa-
tołubczego, rewolucyjnego. Kopernik pochodzą-
cy z patrycjuszowskiej, mieszczańskiej
rodziny wyniósł z niej rzetelność i pewien
konserwatyzm, który nie pozwalał mu na
zrywanie z tradycją tam, gdzie nie było
to konieczne w imię zdobytej prawdy. Ta
zasada nie dopuszczała do wyciągania po-
chopnych wniosków, nie dopuszczała do te-
go, by dął się porwać prądy reformacji
w dziedzinie religii — pomimo że w ówczes-
nym Rzymie niejedno musiało go razić
boleśnie. W sferze nauki ostrożność i rzetel-
ność: nakazywały mu długo badać i kon-
trolować swoje pomysły, budować całą
kunsztowną strukturę wszechświata, nim
zdecydował się na ogłoszenie naczel-
nej swej myśli — że słońce jest centrum
jego układu. Ow konserwatyzm zaważył
też zapewne na tym, że myśli nie sięgnął
tam, dokąd nie mogły go zaprowadzić pry-
mitywne narzędzia obserwacji — do sfery
gwiazd stałych, która pozostawała, jak
mu przekazała tradycja Ptolemeuszowska
w formie „osmej sfery”, w jego koncepcji
— nieruchomej. Znamienny jest kon-
trast z jego poprzednikiem — Mikołajem
z Kusy, który na zasadzie czystej speku-
lacji myślowej odrzucił istnienie centrum
świata w ogóle i wyprowadził stąd wniosek,
że i ziemia się porusza.

Mikołaj Kopernik nie dążył do pełni ży-
cia, jak współcześni mu humaniści; nie
miał w sobie nic z zewnętrznej ekspansy-
wności, nie szukał przejawiania w swym
dziele własnej indywidualności. Pisał tylko
dla stwierdzenia obiektywnego, poza nim
istniejącej prawdy; dzieło jego życia jest
epitafium, pozbawione wszelkich cech liry-
zmu, czy egocentryzmu. Nie był jasny dla
współczesnych. Gassario na posiadany przez
siebie egzemplarz: „De Revolutionibus”
wypisał jako motto słowa Cardana:
„Copernici autem mundum perspecta est
recte sententia, vix enim quod vellet, di-
cere iustus est”. (Powiedział zaś Kopernika do-
dają nie jest dokładnie przeniknięty, nie
bardzo bowiem widać, by powiedział to,
co chciał powiedzieć).)

W życiu Kopernika drugim kamieniem
probiernym, obok prawdy, była sprawiedli-
wość. Jak to już dawno zaznaczył Gas-
sario, ona była podstawą jego negatywno-
go stosunku do Krzyżaków. Sprawiedli-
wość również jest etyczną podstawą jego
traktatu o monetach.

W życiu był dobrym, ludzkim i skrom-
nym. Przyjaciel miał niewiele: „necete
emilitium, nisi cum virus cruditique num-
quam potuit”. (Był zdolny zawierzać przy-
jaźni tylko z mężczyzn poważnymi i uczonymi).
Skromność jego znał współczesni. Al-
bert Kaprny z Bukowa, 27 września 1542,
pisał w Krakowie: „Z chlubą wymieniam
Mikołaja Kopernika, kanonika warmińskiego,
co, niegdyś w tym mieście przebywającego,
który i to co już godnego podziwu napisał,
i co jeszcze więcej wydać zamierzał, z tego
naszego Uniwersytetu, jakoby ze źródła
najpróżd zaczerpnął; czego nie tylko nie
zaprzecza (sądząc według Pliniusza, że
sprawiedliwa i pełna szlachetnej skromno-
ści jest rzeczą wyznawać, komuśmy winni
swe wyśzlactwienie), ale owsem sam wy-
znaje, że to wszystko zawdzięcza naszej
Akademii”.

Cechą, która uderzyła współczesnych,
była też niebawia jego pracowitość: Gas-
sario pisał o nim w r. 1540: „Proculdubio
incomparabilis doctrinac, Herculeisque,

sive potius Atlantici laboris”. (Bez wątpie-
nia nieporównany wiedzy i pracowitości,
równy Herkulesowi, czy raczej Atlasowi).
Szukał samotności, unikał rozgłosu i
zaszczytów. Nawet tytułów naukowych
nie miał, też nie używał. O tym, że był do-
ktorem artium i medycyny, dowiadujemy
się dopiero z nagrobka, który mu wystawił
Marcin Kromer. Tytułu doktora prawa
używał tylko wówczas, gdy występował
jako prawnik, w sporach z Krzyżakami.
Główne swe dzieło wydał jako Nicolaus
Copernicus, bez żadnych dodatków.

Raz jeden w druku pozwolił sobie na
coś, co przypomina zwierzenie: w liście do
Pawła III. I w tym jednak wypadku
po to, by głosić pochwałę nie siebie, lecz
prawdy — i osobienia: „Rożmyślenia
człowieka filozofa dalekie są od sądu po-
spółstwa, ponieważ jego pragnieniem jest
dochodzić prawdy we wszystkich rzeczach,
o ile na to Bóg pozwolił myśli ludzkiej”.
Jest w tych słowach jakby ukoronienie się
wobec prawdy, którą tylko Bóg w pełni
posiada.

Z pokorą własną nie chciał się rozstać
nawet w grobie. Jak na to słusznie zwró-
cono uwagę, tylko z inicjatywą samego Ko-
pernika mogli się znaleźć na portycku,
umieszczonym na jego grobowcu, pętn
pokory wiersz Eneasz Picochimini, bisku-
pa warmińskiego, później Piusa II.

„Non parum Paulo gratiam requiro
veniam Petri nam quos, sed quam
in crucis ligno dederas latroni
sedulus oro”.

(Nie żądam łaski równej Pawłowi, ani
proszę o przebaczenie, jakie Piotr otrzymał,
lecz błagam usilnie o tę, którą na drzewie
Krzyża dałeś łotrów).

II.

Ile z cech powyższych było wrodzonych,
ile nabytych w czasie długiego i nieraz
ciężkiego życia — trudno przesądzać. Jak
wspomnieliśmy, ludzie odrodzenia dojrze-
wali niezmiernie szybko. W młodzieńcu,
który przyjechał do Bolonii w r. 1496 może
mniej było niż później pokory i mizan-
tropii; zasadnicze cechy musiały już być
wyszlactcone. Wniośń jest Kopernik ze śro-
dowiska, z którego pochodził.

BEATIS SIMO PATRIPAVLO SE
CVNDO PONTIFICI MAXIMO
DONIS NICOLA VS GERMANVS



Onne fugit beatissime patri. Cuius summo
ingano exultat, doctriina ptolemeusci

Mikołaj Niemiec, Benedyktyn, którego
pomyłono z Kopernikiem

Strodowico to było mocno zarzysowane
— patrzył krakowski i toruński. Dużo
wyłano żółci i atramentu w sporze o naro-
dowość tego środowiska i samego Kopernika.
Obie strony — polska i niemiecka —
w dyskusjach najczęściej operowały ana-
chronizmami. Przenoszenie naszych pojęć
o narodowości do wieku XV i XVI jest
nienaukowe i niecelowe. Wspólnym języ-
kiem ludzi sztuki i wiedzy była łacina.
Mało tego obchodzilo, kto jakim językiem
mówił w życiu potocznym. Pojęcia huma-
nistsyczne ludzi wybranych bardziej zespa-
lały niż wtedy przemienne. Język rodzinny
był mniej lub więcej uważany za język
ludowy. Nawet we Włoszech, w dwie-
ście lat po Dantem i Petrarce, pisano na
wydawnictwach „...storie di Tito Livio...
di latino in volgare tradotte” („...historia
Tytusza Liwiusza... przetłumaczona z łaci-
ny na język potoczny...”).

W Polsce kwestia językowa miała jesz-
cze mniejsze znaczenie. Język literacki
przed Kochanowskim i Rejem nie był jesz-
cze dostatecznie wyrobiony. A przede
wszystkim Rzeczypospolita była wspólnym
domem różnych narodowości — i było rze-

czną błądą, czy kto w domu mówił po rusku,
litewsku, czy też po niemiecku, aby wie-
nie służył Rzeczypospolitej.

A taką właśnie była rodzina Kopernika
po mieczu i po kądzieli. Dziadek jego po
matce, Łukasz Watzelrode starszy, bogaty
patrycjusz toruński, należał do najgorę-
szych zwolenników wyzwolenia „ziem i
miast pruskich spod jarzma krzyżackiego”.
Ławnik, a później przewodniczący ławy
sędziowskiej Torunia, był jednym z
najczynniejszych przewodów spisku, a
później otwartego rokosa przeciw cie-
mięży. Był w gronie 16 mężów zaufania,
których gmina wysłała do chwycającej się
rady miejskiej. Gdy wreszcie doszło do
rozprawy orzecznej, widziemy go walczącego
pod Malborkiem i pod Łaszynem, wśród
z hufcami polskimi, przeciw wspólnemu
wrogowi. Łożył on też wiele na koszty po-
łączone z walką o wyzwolenie. A w spo-
działaniu z nim małżonka, babka Mikołaja
Kopernika, Katarzyna z Malborków, z
pierwszego męża Pękowa.



NICOLAVS COPERNICVS

Portret Mikolaja Kopernika

Do wyzwolenia Warmii przyczynił się i
ojciec astronoma, Mikołaj Kopernik star-
szy. Jeszcze w Krakowie, w lutym 1454
roku, przyszedł z pomocą pieniężną poseł-
stwu „ziem i miast” pruskich do króla.
Było to ważne, gdyż król wahał się z
obawy umiarkowania się w wojnę niepewną,
idąc w tym za radą kardynała Zbigniewa
Oleśnickiego, który na pierwszy plan wy-
suwał trudność pieniężną. W chwili wy-
buchu wojny Mikołaj Kopernik starszy
przeniósł się właśnie do Torunia. Nie ma
na to dowodów, ale można przypuszczać,
że i on walczył z Krzyżakami wśród ze swym
teściem Łukaszem.

Ale i Mikołaj Kopernik młodszy, astron-
om, w roku 1520, w czasie inwazji krzy-
żackiej, obronił zamek w Olsztynie (Allen-
stein), jedyny jaki się oparł wrogowi. Dwu-
krotnie, w r. 1516 i 1521, własnoręcznie pi-
sał, na użytek kapituły, skargi na Wielkie-
go Mistrza. W roku 1522 zaś w Grudziądzu,
na sejmiku pruskim, gdy obradowano nad
sposobami poprawy monety pruskiej, wy-
stąpił z memoriałem, w którym projekto-
wał między innymi zamknięcie mennicy
królewieckiej, tej kuźni monety oszukań-
czej. Nie dziwnego, że Szymon Starowski
w r. 1627 pisał: „Ex vivens quidem Theu-
tonicorum Cruciferorum Magistrum Coperni-
cium inicium sensit”. (Za życia Kopernik
miał za wroga mistrza teutońskich Krzy-
żaków).

Wuj i opiekun Mikołaja Kopernika, Łu-
kasz Watzelrode młodszy, biskup war-
miński, był zaufanym doradcą trzech kró-
łów: Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta.
Na początku panowania Olbrachta wystąpił
z projektem, by Zakon Krzyżacki przemie-
nił na Podole, gdzie mógłby być przed-
murzem chrześcijaństwa przeciw Tur-
kom. Dane o stosunku rodziny Koperni-
ków i Watzelrodów do Krzyżaków zostały
zaczepnięte z artykułu Z. Birkenmajera,
opublikowanego w „Lamusicie” r. 1909-10.

Mając takie środowisko rodzinne i taką
działalność publiczną za sobą Mikołaj Ko-
pernik nie potrzebował żadnej obrony swo-
go oblicza politycznego. Był wernym sługą
królewskiem, stał na straży praw i interes-
ów Rzeczypospolitej — i to nam wy-
starcza.

III.

Dopiero w świetle wagi powyższych
można do właściwej miary sprowadzić fakt,
że w Bolonii Kopernik zapisał się do
związku studentów niemieckich, zwanego
„Nacio Germanorum”. Poszedł za tradycją
diecezji warmińskiej, do której należał, tak
jak to uprzednio zrobił jego wuj Łukasz
Watzelrode i wielu jego ziomków i znajo-
mych. W Padwie zresztą Kopernik zapisał
się do zrzeszenia studentów Polaków.

W Bolonii żyć nadawali tu studenci,
zwłaszcza przyjeźdźcy. Odrębna „Universi-
tas” — wszechnicca, czy raczej powszechność,
obejmowała wszystkich słuchaczy obojga
praw, pochodzących z poza Włoch. („ultra
montani”). Universitas dzieliła się na kor-
poracje narodowe i każdy słuchacz wniósł
do jednego z tych związków należąc. W
wypadku wątpliwości rektor przydzielał
szlachetca do tej „nacji”, którą uznał za
najbliższą. Spośród narodowych zwią-
ków najmniejszą była „Nacio Germano-
rum” i ona też dawała najwięcej przywile-
jów i udogodnień swym członkom. Jako
najbliższa, rosła sobie prawo do
większego niż inne wpływu na doroczny
wybór rektora.

Przechował w się kopii urzędowej z 14
-w. dokument, datowany 11 marca 1265, a

zawierający zatwierdzenie sporu „inter scholares ultramontanorum super electione sen-
creatione rectoris dicte universitatis, videlicet Gallicos, Picardos, Burgundos, Picta-
vienses, Turrones et Cananoneses, Norman-
nos, Cathelanos, Ungaros et Polonos ex
una parte, ex altera vero scilicet Theothoni-
cos, Espanos, Provinciales, Anglicos et Va-
scones” (między studentami ultramonta-
ńskimi (tj. zza Alp), w sprawie wyboru
czyli kreowania rektora wymienionego Uni-
wersytetu — a mianowicie między Fran-
cuzami, Pikardyjczykami, Burgundami,
mieszkańcami Poitiers, Tours i... Normanda-
mi, Węgrami, Polakami z jednej strony, zaś z
drugiej Niemcami, Hiszpanami, Prowan-
salczykami, Anglikami i Baskami). Zostali
wybrani rozjemcy, powszechność zaprzy-
siała zastosować się do kompromisu. W
rezultacie wszystkie związki narodowe
dzielono na trzy grupy, które wybierały
rektora w takiej kolejności, że „Nacio Ger-
manorum” miała zapewnić wybór swego
współzonia na rektora raz na pięć lat.

„Nacio Germanorum” była zasona, bu-
na, strzegła pilnie tradycji i przywilejów
zarówno Universitatis, jak przede wszyst-
kim swoich własnych nie cofając się nawet
przed zatargiem z władzami i przed wy-
wołaniem tumultów w mieście. Człon-
kowie znajdowali w niej silne oparcie na
obcym sobie gruncie boloińskim. Jej księ-
gi — Instrumenta i Annales — były pro-
wadzone starannie. Annales zawierały akty
dorocznych wyborów dwóch prokuratorów,
czyli prefektów, którzy kierowali zrzesze-
niem, oraz rachunkowości, przy czym nota-
wano wpisowe nowo wstępujących, wraz z
ich tytułami co stanowiło raczej spis człon-
ków.

Często oczywiście wybuchaly spory między
związkami narodowymi, niejednokrotnie
przeradzające się w bójkę. Czasem mo-
że połało się nieco krwi, lecz niewątpliwie
więcej lalo się inkaustu. W rachunkach z
1300 r. zanotowano: „Item pro papiro et
incaustro, cum scripsimus inter nos et Po-
lonos, 1 solidum”. (Poza tym na papier i
inkaust na akta pomiędzy nami i Polakami
sółdów — 1).

W r. 1301 w sporze z Polakami, akty pisał
notariusz Matheus, za co otrzymał 10 sółd-
ów. Doradca prawny, Johannes Andree
doctor, antiquus, otrzymał 20 sółdów. Przy
każdym następnym sporze wydatki rosły.
W r. 1306 wydano „in discordia, quam ha-
buit cum Polonis, honorando advocatos
et alias personas VII libras”. (W sporze,
jak mieliśmy z Polakami, na honoraria
advokatów i innych osób liwrów — 7), nie
licząc innych, drobniejszych kwot. Tym
razem skończyła się na spisanu ugody z
Polakami. Zgoda odbyła się uroczystie i do
przystrojenego niemieckiego kościoła przy-
był „archidiaconus de Polonia”.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nowe wydawnictwo

— W sprzedaży znajduje się mapa insty-
tucyj i pamiętek polskich w Rzymie, wy-
dana nakładem Oddziału Propagandy i
Kultury. Cena 10 lirow.

DR TADEUSZ FELSZTYN

BITWA O LINIE „GOTÓW”

Po przekroczeniu rzeki METAURO cały wysiłek Polskiego 2. Korpusu skierował się na oczyszczenie przedpola linii „GOTÓW”. Linia ta, przebiegająca na północnym brzegu rzeki FOGLIA i mająca na przedpolu umocnione nadmorskie miasto PESARO, stanowi doskonale umocnioną, ciągłą pozycję, znakomity wyraz techniki fortyfikacyjnej. Budowana już nieomal od roku siłami organizacji TODTA (wśród nich wielu jeńców rosyjskich) i przymusowo do roboty pędzonej ludności włoskiej, pomysłowo dostosowana do terenu, stanowi spół świetnie zamaskowanych schronów bojowych i schronisk wypoczynkowych, wień obserwacyjnych, kopuł na km i działa panc. i których ognie łączą się nawzajem bardzo umiejętnie, tworząc swym wziewiskiem jedną sieć ogniwą o niezwykłej sile, zdolną do zmiadzenia swą potęgą śmierniczą każdego, kto by nieopatrznie wdarł się w głąb pozycji. Znakomicie przygotowane przedpole, szeroki pas wyciętych drzew, zburzone i z ziemią zrównane wście, tam gdzie mogłyby stanowić podejście dla nieprzyjaciela, szeroki rów przeciwciżlowy, rozległe głąbokie i sprytnie założone pola minowe, sięgające daleko w głąb pozycji i doskonale powiązane z systemem ognia — wszystko to stanowiło raz niezwyczajnie ciężką przeszkodę dla nacierającego. Szeroka do trzech kilometrów dolina rzeki, pozbawiona osłon, niezmiernie utrudniała wybór stanowisk dla moździerzy, zwłaszcza trzycalowych, pozbawiając w ten sposób piechotę w czasie natarcia pomocy tej nieocenionej jej towarzyszy. Nawet działa samobieżne, ten wierny pomocnik piechoty na polu walki, mają wielkie trudności w znalezieniu stanowisk półkolumnowych. Równocześnie zresztą ukryte w terenie, w domkach, sadach, winnicach, polach kukurydzianych, w jarach, stanowiska broni niemieckiej mogą kierować doskonale obserwującymi ognie na każdy punkt szerokiego przedpola i w głąb pozycji.

W tych warunkach piechota musi przebyć szeroką, płaską, nieomal jak stół gładką dolinę rzeki, doskonale widoczną przez NPLA, którego świetnie zamaskowane i tym samym zupełnie nie do wykrycia gniazda ogniowe w każdym miejscu skierować na nią morderczy ognie kaemów, moździerzy, artylerii ze wszystkich stron, ognie z góry dokładnie przygotowane i wstrzelane. Niemcy mogą strzelać do nacierającego, jak do tarcz na poligonie, a nacierający, nosząc rękę w ziemię, nie bardzo nawet może określić, kto i skąd do niego strzela. Nawet i ogień artylerii, czy bombardowanie lotnicze nie wiele tu może pomóc. W czasie, gdy padają pociski czy bomby, Niemcy wchodzą w głąbokie schroniska o grubych ścianach betonowych, by wyjść z nich w chwili, gdy ruch własnej piechoty uniemożliwi dalsze wsparcia artylerii. Na wlewu stanowiskich — i to stanowiskich flankujących nasze podejście — nawet i w czasie ognia artylerii nie trzeba się chować do schronów, same bowiem stanowiska, pod pancernymi kopułkami, stwarzają doskonale zabezpieczenie przed ogniem naszych dział.

W tych warunkach natarcie musi być gruntownie przygotowane, przemysłane i opracowane w najdrobniejszych nawet szczegółach, inaczej bowiem kilkunastu ludzi z kilku km., zdecydowanych i chcących walczyć do ostatka, może zatrzymać skutecznie ruch całego baonu, zwłaszcza, że obsadę linii w naszym pasie działania stanowił nasz stary znajomy, 1. dywizja spadochronowa, pałająca żądzą pomśczenia niemieckiej, jaką jej zadali Polacy pod CASSINO.

Toteż w czasie, gdy Kresowiacy szeregami ciekących wałk opanowywali początek terenów między rzekami METAURO, a FOGLIA i gdy do zajęcia wzgórz panujących od południa nad dostępnymi do linii „GOTÓW” było jeszcze daleko — już Karpaczczy (którym przypadał w udziale zaszczyt natarcia na ten pas umocnień) przygotowywali się do walki. Dużym w tym rolę odegrały zdjęcia lotnicze. Aparat fotograficzny wykrywał szczegóły zupełnie niewidoczne dla oka ludzkiego i zachodził ten dziwny paradoks, że to, czego człowiek na ziemi nie widzi w odległości nawet stu metrów, to lotnik na swym zdyktu wykryje z wysokości wielokrotnie większej.

Toteż tajemnica linii „GOTÓW” była dla naszych sztabów znakomicie odszyfrowana i długie toczyły się dyskusje i rozważania, jak najlepiej wykonać swe zadanie. A było ono w zasadniczym skrócie następujące: nacierający na lewo od nas Kanadyjczy

mają — po przebiegu czoła linii „GOTÓW” — dążyć szerokim objęciem do brzegu morza, odcinając w ten sposób całą zalogę nadbrzeżnego odcinka niemieckiej pozycji. Polacy wykonują swe zadanie równoległe do Kanadyjczyków, na prawo; przebijają na swym odcinku pozycję niemiecką i również prą do morza dociskając Niemców obok Kanadyjczyków. Równocześnie przyjmują oni na siebie wszelkie przeciwnatarcia wroga, chcącego się wydobyć z saka i tym samym uniemożliwiają Niemcom wycofanie się, do czasu, kiedy zaciśnięte klęskze kanadyjskie odetną im wszelki odwrót.

Prace planowania zaczęły się bardzo wczesnie. Dowódca Karpaczkę długo pracował przy swym sztabem zasadnicze myśli przewodnie działań.

A gdy wyższy dowódca już ustalił zrab planu, przysłapali do pracy kolejni dowódcy niżsi. Artylerzyści, czołgisi, saperzy zaczęli z kolei w szczegółach rozstrząsać swe zadania, w gorących nieraz i zaciętych dyskusjach poczyniły się ścierające poglądy i zdania i — jak to często u nas bywa — jedni drugim skakali do oczu, by na namiętnym sporze dojść do zgodnego poglądu i serdecznym uściskiem dion zamknąć niedawne — nie do pogodzenia zdawałoby się — różne punkty widzenia i przypieczętować szczerą współpracę na polu walki.

Szczegóły wykonania przyczołowyli się coraz bardziej, na coraz niższy szczebel, aż wreszcie wszyscy dowódcy plutonów i dużych, wszelkie zalogi czołgów zapoznali się z naszym zadaniem w tej walce i z rolą, jaką każdemu z nich w tym było przypada.

Alu — chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi.

Kiedy nasi Kresowiacy dochodzili już do rzeki FOGLIA, walczyli na lewo od nas Kanadyjczycy uzyskali niespodziewany sukces na swym lewym skrzydle, wyczuł, że tam nieprzyjacieli jest słaby i tam też — wbrew pierwotnemu planowi — postanowili skierować swój wysiłek. Tym samym i nasze natarcie, ściśle związane z natarciem kanadyjskim, musiało przesunąć się bardziej w lewo.

Trudno było oddziałom naszym opanovać w pierwszej chwili uczucie zawodu. Tyle pracy na nie! Niemniej jednak wszyscy wzięli się gorąco do roboty i w krótkim czasie powstał plan nowy, przy czym na szczęście okazało się, że wiele szczegółów opracowanych dla zadania poprzedniego da się stosownie nieomal zastosować do zadania obecnego i że zasadnicza organizacja jednostek do natarcia ulega niewielkim tylko modyfikacjom.

Zaszczyt pierwszego skrzyżowania szpady z linią „GOTÓW” przypadł ułanom Karpaczkim, którzy w tym czasie, gdy Karpacka jeszcze przygotowywała się do natarcia, zdolał wejść dość głąbko do miejscowości PESARA, gdzie dopiero zostali zatrzymani przez silny ogień NPLA.

Rankiem następnego dnia ruszyli w teren rozpoznania dowódców. Widok, jaki się przedstawiał naszym oczom, był wręcz niezwykły. Obserwatorzy artylerii kanadyjskiej, rozebrani nieomal do naga, weszli na szczyty wzgórz, skąd — doskonale widoczni przez nieprzyjaciela — kierują ogniem swych dział. Samochody kanadyjskie, łaziki, carryery, bezczelnie jeżdżą po drogach, doskonale widocznych z punktów obserwacyjnych niemieckich. A z tamtej strony cisza, ani strzał. Ki diabli! Czyżby Niemcy odeszli bez walki? Chwilom! odnosi się wrażenie, że to nie wojna, a jakies eweniscie na poligonie i że lada chwila wpadnie kierownik eweniscie, by zwynymślać oddziały za „niebojowe zachowanie się”.

Dopiero nad wieczór padają pierwsze pociski ciężkiej artylerii niemieckiej i od razu znikają z widzialnych miejsc skupione samochody, a dzielni synowie przez Jacka Londona opiewanych przez Północe poczynają przypominać sobie zasady poruszania się na polu bitwy.

W nocy nawet stanowisko dowódcy jednego z naszych baonów okładają Niemcy ogniem tak cełnym, że zachodzi konieczność jego zmiany.

Już przedtem po południu ruszają oddziały przesuwające się po ciężkich drogach, które na pewno nie śnią nawet o tym, by coś cięższego, niż wóz w woly zaprzęgnięty, mógł się po nich poruszać. Zakurzeni niemożliwie, z twarzami ubielonymi kurcem, niby kłowny w cyrku pudrum, z brnatnymi płamami skóry dookoła oczu po zdających okularach, żołnierze

wywołują wrażenie niesamowite. Ale weszli, ochoczy, z pieśnią na ustach, zapadają na noc po zboczach jarów, skąd jutro rano mają ruszyć do dalszej pracy.

Tymczasem jednak u lewego sąsiada położenie znów ulega zmianie, w związku z czym i nasze zadania aż dwukrotnie ulegają modyfikacji. Ta w nieustannym nerwowym napięciu trzymająca dowódców niepewność, co czynić im jutro przyjdzie, nie dochodzi jednak do oddziałów, które zaspają spokojnie. Również i dowódcy po północy ciężkiej pracy dniu kładą się do snu w dobrej myśli. „Je natarcie ruszy — zgodnie z planem — dopiero po jutrze o świcie i że cały dzień i całą noc zostaną im do dyspozycji dla niezbędnych przygotowań w terenie do natarcia na pozycję umocnioną.

Alu w nocy zachodzi nowa zmiana. Kanadyjczycy, którzy w ciągu dnia wykonali natarcie rozpoznawcze piechotą i czołgami na lewym swym skrzydle, przedarli się bez wielkiego oporu w głąb pozycji „GOTÓW” i leżą, że jutro uda się im sukces ten jeszcze bardziej rozszerzyć. Co się okazało? Dzięki niezmiernie zręcznemu ukryciu przez sprzymierzonego faktu przetrwania większych sił na odcinku adriatycki, Niemcy — nie po raz pierwszy w kampanii włoskiej — zupełnie mylnie ocenili położenie. Sądził widocznie, że naprzeciwko nich stali tylko Polacy i być może najwyżej jakieś luźnujące ich drobne jednostki kanadyjskie. Byli nadto przekonani, że po kilkumiesięcznym pościgu i ciągłych walkach oddziały polskie zbyt są zmęczone, by z miejsca przystąpić do natarcia na silnie umocnioną linię „GOTÓW”. Byli więc pewni, że mają czas. Toteż, przestawiając się silnie na odcinku nadmorskim, gdzie szpady wali się natarca polskiego, słabe tylko oddziały osłowne pozostawili na prawym swym skrzydle, gdzie — wedle ich kalkulacji — mogli mieć do czynienia najwyżej z polskimi i włoskimi oddziałami rozpoznawczymi. Tam właśnie uderzyli Kanadyjczycy i rozbili słabą przesłonę w puch. Niemcy poczęli na gwałt ścigać posłki. Są nawet wiadomości o nadejściu niemieckiej dywizji pancernych. Silny oddział niemieckich spadochroniarzy zmusił naszych ułanów do opuszczenia zdobytego PESARO.

Chodzi więc o pospiech. Trzeba szybko iść naprzód, zanim Niemcy zdolają ścigać większe siły do obrony i zanim ich czołgi będą mogły przeciwstawić się naszemu natarciu.

Około północy dochodzi do ustalenia wspólnego planu działań pomiędzy dowódcą naszej Karpaczkę, a sąsiadującym dowódcą kanadyjskim. Dowódca kanadyjski ocenia, że w ciągu nocy oddziały jego zajmą wzgórze 131 i oczyszczą je całkowicie. Zadaniem Karpaczkę będzie więc z zachodnich stoków tego wzgórza, leżącego już w głąb linii „GOTÓW”, uderzyć na równoległe doń wzgórze SAN GERMANO, ciągnące się z południa na północ i — przedarłszy się przez nie — kontynuować równoległe do Kanadyjczyków natarcie wzdłuż jego grzbietu, a następnie skierując na północny wschód ku morzu, dla wykonania pierwotnego planu zapanowania Niemców do worka. Równocześnie natarcie nasze przykuje grójcem im bezpośrednim niebezpieczeństwem Niemców na miejscu i uniemożliwi im zarówno przedczesne wycofanie się, jak i przeciwdzieranie na skrzydło natarcia kanadyjskiego.

Każdy rozkaz wymaga, niestety, czasu na opracowanie i na omówienie z wykonawcami, a zwłaszcza rozkaz, przypisujący natarcie do dwudzięcia cztery godziny i zmieniający zupełnie jego kierunek. Toteż dopiero o godzinie 5.30 rusza czołowy baon mjr B. do natarcia. Jest to słynny baon Karpaczkę, o pięknej tradycji, ślągającej TOBRUKU, baon który ponosił najcięższe straty w walce o MONTE CASSINO.

W ciągu kilku godzin ma on przejść: na podstawie wyjętą na wzgórze 131 i wykonaną — przy pomocy wytrwałych saperów karpaczkę — przejścia przez pola minowe, rzucenie most przez przeciwpancerne i przeprowadzić czołgi słynnych Krowchowiaków na wzgórze 131. Skoro raz już baon się tam usadowił, wykonana on zwrot w prawo o 90 stopni i wraz z czołgami wyruszy około południa do natarcia na wzg. SAN GERMANO.

Pierwsza ruszona kompania por. C. Idzie początkowo odcyniona od ognia ze strony wzgórza SAN GERMANO, gdzie nasza artyleria kładzie od czasu do czasu swój ogień.

Wiele przeszkód jest do pokonania po drodze — kanał, rzeka i rzów ppane.

Przejsie przez kanał idzie stosunkowo łatwo. Co prawda, na skutek przypięszenia terminu natarcia o całą dobę, zabrakło czasu na dokładne rozpoznanie przeszkód i kanał okazuje się znacznie szerszy, niż to pierwotnie przypuszczano. Jednak — na skutek szybkości naszego działania — Niemcy nie zdążyli wysadzić mostu kamiennego, prowadzącego przez ten kanał i czołgi przechodzą tę przeszkodę bez żadnej trudności.

Również i rzeka FOGLIA, o bardzo niskim stanie wody nie stanowi żadnej przeszkody ani dla piechoty, ani dla czołgów. Poważna natomiast trudność przedstawiają rozległe pola minowe, o wiele szersze, niż to początkowo przypuszczano, a przy tym pełne złośliwych pułapek o dotąd zupełnie nie spotykany typ.

Toteż torowanie sobie drogi idzie bardzo powoli. Pionierzy baonu przy współpracy saperów wykonują krok za krokiem ścieżki dla piechoty, przez które posuwają się kompanie czołowe, a posuwające się za nimi grupa mjr A. wraz z saperami kapitanem CH. oczyszczą i rozszerzą to przejście umożliwiając w ten sposób ruch czołgów do przodu.

Ze względu na niezmiernie trudne warunki, praca idzie powoli, znacznie wolniej, niż to pierwotnie planowano. Jak dotąd jednak wydaje się, że poza pewnym opóźnieniem, baon będzie mógł wykonać powierzone mu zadanie zgodnie z planem. Około jednak godziny 11.30 pojawia się nowa, zupełnie nie oczekiwana trudność. Okazuje się, że dowódca kanadyjski miał informacje zbyt optymistyczne i tym samym również zbyt optymistycznie ocenił możliwości swych oddziałów. Ważna miejscowość BORGÓ S. MARIA, przez którą prowadzi drugie znaczenia dla dalszych działań, niezmiernie ważny ufortyfikowany węzeł, leżący na linii „GOTÓW”, została zdobyta nie wczoraj wieczór, jak to nam podali Kanadyjczycy, ale dopiero dziś o godzinie 7. rano. Równocześnie nocne natarcie kanadyjskie zdobyło jedynie zachodnie stoki wzgórza 131, wystarczające co prawda, by osłonić natarcie czołgów kanadyjskich na kluczowe w całej okolicy wzgórze MONTE LURO, lecz zupełnie bez znaczenia dla naszego ruchu. Natomiast utkwiono ono przed laskiem, leżącym na zachodnim stoku wzgórza 131, gdzie silne niemieckie schrony bojowe uniemożliwiają ruch Kanadyjczyków od zachodu, a równocześnie trzymały pod skutecznym ogniem nasz baon, idący od południa. Prócz tego oddziały nasze otrzymują ogień z domku na południowo-zachód od tego lasku (pkt 63) oraz od domku ZILLI, leżącego niedaleko zupełnie na południe od lasku w odległości jakichś 600 do 700 m.

Ten sposób zupełnie nieoczekiwane położenie zmieniło się całkowicie. W myśl pierwotnego planu pierwsza faza działań baonu mjr B. miała być zajęciem podstał wzgórze 131, a następnie przedarłszy się przez nie — kontynuować równoległe do Kanadyjczyków opuszczenie terenu, gdzie jedyną trudnością miało być jedynie wykopanie przejść przez pola minowe i rowy ppane, gdzie ze strony nieprzyjaciela grozić mogły jedynie — poza ogniem artylerii i moździerzy — odległy ogień bocny ze wzgórza SAN GERMANO, którego stanowiska odległe były co najmniej o 1500 m. Właściwie natarcie miały się rozpocząć dopiero później, gdy po wykonaniu zwrotu baon ruszy na wzgórze SAN GERMANO.

Tymczasem okazało się, że podstał wyjętym do natarcia nie wystarczy „zająć”, lecz że należy je wpiąć wywalcz na nieprzyjaciela. A warunki walki były niezmiernie trudne. Podczas posuwania się baon otrzymywał ogień od frontu i od prawego skrzydła. O niecały kilometr przed nami, na wzgórzu 131 siedzieli Kanadyjczycy, przy czym trudno było określić, jak daleko są. Ogień artylerii skierowany na laski i na 63 musiał dalekimi swymi strzałami razić Kanadyjczyków. Z ebwią, gdy piechota nasza dojdzie do rowu ppanego, na domek ZILLI nie może strzelać ani artyleria, ani nawet ciężkie moździerze, gdyż odległość domku od rowu wynosi zaledwie 250 m o moździerze baonu nie miały w szerokiej gołej dolinie rzeki żadnych stanowisk, skąd mogłyby wziąć ten domek pod swój ogień.

Bezstronnie mów obserwatorowi mogłaby przejść do głowy myśl, że na dobrą sprawę oddziały nasze mogły być przerwać dalsze natarcie i zależeć na miejscu. Skoro bowiem baon miał w myśli planu wyjść do natarcia, z terenu już oczyszczonego przez sąsiada,

(Ciąg dalszy na str. 11)

PRZEGLĄD PRASY

Siedem punktów Churchilla

Zwracaliśmy tu kilkakrotnie uwagę na opozycję, jaką w Anglii i Ameryce budziła oficjalna aliancka polityka „bezwątkowej kapitulacji” i jak energicznie domagano się w niektórych kołach politycznych oficjalnego oświadczenia, że Karta Atlantyka odnosi się nie tylko do ofiar Niemiec i Japonii, ale także do Niemców (o Japończykach nie wspomina się przy tym). Premier Churchill konsekwentnie przeciwstawiał się tym żądaniom i nieustannie podkreślał, że Niemcy nie powinni oczekiwać żadnych względów: będą pokonani, sprawiedliwie ukarani i wzięci w takie karby, by nie mogli więcej wywołać żadnej wojny.

W jednym z poprzednich numerów „Orzeł Biały” ukazał się artykuł, w którym omówione zostały „punkty Churchilla”, tj. oświadczenie premiera brytyjskiego do narodu włoskiego, precyzyjnym, jakim warunkom musi odpowiadać życie polityczne i gospodarcze kraju, jeżeli ma uchodzić za kraj, w którym panuje wolność. Obecnie doszedł rąk naszych artykuł tygodnika londyńskiego „The Economist” — napisany na krótko po ogłoszeniu „punktów Churchilla” w Anglii, a oceniający te punkty jako coś w rodzaju owej brakującej ośrody. Karty Atlantyki dla Niemców. Z artykułu tego dowiadujemy się, jakie motywy wysuwano przeciwko ogłaszaniu takiej deklaracji oraz jakie refleksje uzasadniają rzekomo nagły odwrót od polityki „bezwątkowej kapitulacji”.

Zanim przejdziemy do tych motywów, zacytujemy w pełnym brzmieniu punkty Churchilla, które przytacza również „The Economist” i w których widzi dowód, że polityka brytyjska zwróciła, iż „musi nie tylko zakończyć wojnę (w Europie), ale także wojnę domową”. Oto one: 1. Czy istnieje prawo swobodnego wypowiedziania opinii oraz opozycji do istniejącego rządu, a także krytyki rządu? 2. Czy społeczeństwo ma prawo obalić rząd, z którym się nie zgadza oraz czy istnieje konstytucyjne warunki, które pozwalają ujawnić się takiej woli społeczeństwa? 3. Czy sądy są wolne od gwałtu ze strony władzy wykonawczej a także od wszelkiego zagrożenia przez motloch i od wszelkiego związku z jakąkolwiek poszczególną partią polityczną? 4. Czy sądy kierują się jawnymi i legalnie ustanowionymi prawami, zgodnymi z zasadami przyzwoitości i sprawiedliwości? 5. Czy równe prawa mają biedni i bogaci, osoby prywatne i urzędnicy? 6. Czy prawa jednostki, poddane jej obowiązkom wobec państwa, są szanowane, podtrzymywane i czczone? 7. Czy prosty rolnik i robotnik, zrabiający na życie codziennym trudem i mozołem, by utrzymać swoją rodzinę, wolny jest od obawy, że jakaś okrutna organizacja policyjna — kontrolowana przez jakąś jedną partię, jak Gestapo utworzona przez partię nazistowską i faszystowską — położy mu łapę na ramieniu i odda go bez uczciwego i jawnego sądu na niewolę i poniewiercę?

Tę deklarację, ogłoszoną przez Churchilla w Rzymie, potraktowaliśmy na tych łach jako ostrzeżenie pod adresem Włochów, by — uwolniwszy się od totalizmu faszystowskiego — nie popadli w nowy, drugi z kolei totalizm. Nie zapuszczaliśmy się w dociekania, co alianci powinni uczynić, by narodowi włoskiemu ułatwić wyrywanie i siebie stosunków, które umożliwiłyby utrzymaniu tak sformułowanej wolności — czyni to, jak zobaczymy, tygodnik londyński. Natomiast zaryzykowaliśmy twierdzenie, że deklaracja rzymska Churchilla oznacza przede wszystkim, iż koalicja z r. 1939 nie przestała być koalicją demokratyczną — mimo związania się jej z pewnym mózgowym totalizmem. Dziś mamy tę satysfakcję, że to nasze zdanie powtarza „The Economist”, który pisze: „Nie może zaszkodzić sprawie alianckiej ani opóźnić zwycięstwa stwierdzenie... że ani przemoc ani szalbierstwo nie leżą w naszym charakterze nawet, gdy siła nasza triumfuje i przeważa oraz że celem wyzwolenia, jakie przynosi nasza armia, jest ta sama wolność, która stała się źródłem naszej własnej siły”. To jest jasne i wyraźne.

Zdaniem tygodnika londyńskiego, winni o tym wiedzieć nie tylko Włosi, ale także — a zwłaszcza — Niemcy. Jeżeli dotąd powstrzymywano się od „skorzystania w pełni z broni politycznej przeciwko wrogowi”, to tłumaczy się to obawą, że „wszelka próba osłabienia woli oporu u wroga przy po-

mocy środków politycznych (obietnic) musi równocześnie osłabić wysiłek zbrojny sprzymierzonych, a także ich zdecydowaną wolę, by nie dać się okpić jak ostatnim razem, gdy im zwycięstwo zostało wytracone z rąk”. Uważano, że należy Niemcom zadać cios „knock-out”.

Obecnie ten cios jest zapewniony. „Ale to tylko jeden ze środków do osiągnięcia zwycięstwa” — pisze „The Economist”. Istotnie, sam Churchill jeszcze niedawno dał wyraz przekonaniu, że „knock-out” wystarczy, gdy odpowiadał na pytanie jednego z posłów do Izby Gmin, czy rząd brytyjski jest przygotowany na to, że Niemcy się zbolszewiczają. Jego odpowiedź brzmiała: „Zbrodnia wojenna nie ujdą kary, pod jakąkolwiek ukryłaby się maską”. Minęło kilka tygodni — to prawda, brzemiennych w wielkie i decydujące wydarzenia — a Churchill ogłasza w Rzymie swoje „siedem punktów”. Możemy więc swobodnie tygodnikowi londyńskiemu, że i Churchill doszedł obecnie do wniosku, iż „knock-out” jest „tylko jednym ze środków do osiągnięcia zwycięstwa”.

Bo o to ostatnie tygodnie uprzytomni politykom alianckim dwie rzeczy: 1. że naród niemiecki, zagrożony wszystkim tym, co mieści się w pojęciu „bezwątkowej kapitulacji” (a co Guebels potrafił bardzo plastycznie przedstawiać jako „całkowitą destrukcję Niemiec”), będzie istotnie bronął się jak osaczony zwierzę: już dziś sżykuje się w Niemczech partyzantka, która może praktycznie przedłużyć wojnę w nieskończoność. Inne wydarzenia nastąpiły politykom alianckim refleksje, że 2. faszizm i hitlerizm zrodziły się z europejskiej bezadziejności, z nędzy i bezrobocia, że więc nie wystarczy zlikwidować faszizm i hitlerizm, ale trzeba także usunąć przyczyny, które faszizm i hitlerizm wywołały. „Sam przysmus — choć zapewne potrzebny będzie przysmus bezlitosny — nie uratuje Europy” — pisze „The Economist”. „Europa — nie tylko Niemcy, ale wielu ludzi w wielu krajach — żyje jakby pod urokiem. Sama siła nie złamie tego uroku, chociaż będy siły złać się on nie da. Potrzeba także światła i kierownictwa, które tchnęłyby świeżą nadzieję w serca tych Europejczyków, których okropności i upadek ostatnich lat zbliżyły niebezpiecznie do stanu owej Miltonowskiej „nieszczęśliwej i bezbronnej trzody”.

„Prrowadzimy wojnę wyzwolenia a nie podboju — pisze „The Economist”. — Problemem zwycięstwa alianckiego będzie rozmiar, w jakim cała Europa może być uwolniona zarówno od zromy totalistycznej, jak i od napięcia społecznego i politycznego, które pozwoliło tej zromze uczestniczyć w siłę i stać się groźną dla świata”.

„Churchillowskie siedem punktów — dodaje „The Economist” — mają zastosowanie powszechne. Nie możemy powiedzieć — w tym czy innym kraju — „żo, bądź. naszym dobrem!”

Nam, Europejczykom, wypada teraz czekać na czynny, który z tych pięknych słów uczyni... rzetelny program. Związałyby to nas jeszcze silniczy z koalicją, do której należy Polska.

Gen. de Gaulle ostrzega

Francja jest pierwszym krajem alianckim, który został prawie całkowicie wyzwolony spod okupacji niemieckiej. Wyzwolenie to odbyło się przy tym stosunkowo łatwo i szybko. Francja jest ponadto krajem, który z różnych powodów nie wiele ucierpiał pod okupacją niemiecką (wszyscy czytaliśmy obserwacje korespondentów alianckich, którzy nie bez zdumienia stwierdzali wysoki poziom życia we Francji). Wreszcie, Francja jest krajem, w którym nie kłociono rządu z czynników mieszanych, rodzimych i obcych, w którym nie musiano prawowitych władz do kieszkić kompromisów z obcymi agentami. Francja powinna więc mieć wszelkie powody do tego, by czuć się szczęśliwą. W interesie gen. de Gaulle, który jest wizorycznym szefem państwa francuskiego i którego czeka egzamin wyborczy, leżałoby właśnie podkreślać te pozytywne momenty i wysuwać na pierwszy plan to wszystko, co może przypisać swojej własnej niezromdowanej i niezromnej osobowości.

Ale gen. de Gaulle nie należy do polityków, którzy lubią ludzi siebie i innych. Jest to mąż stanu, który ponad własną przogność umie przekładać interes państwa

i narodu. A ten interes będzie najlepiej zabezpieczony, jeżeli społeczeństwo dobrze zda sobie sprawę z rzeczywistej sytuacji, w jakiej się znajduje. Prawda wymaga wytrzymałych charakterów i gen. de Gaulle dał wyraz swojej wierze w charakter francuski, gdy stawia przed oczami Francuzów całą prawdę i tylko prawdę.

W tygodniku francuskim „Presence” znajdujemy streszczenie ostatniej mowy gen. de Gaulle, „Radosć i dumą z powodu wyzwolenia — oświadczył generał — nie przedstawiają narodowi francuskiemu odważnie spojrzeć w twarz twardej rzeczywistości, w jakiej się znalazł i analizować warunki swego powrotu do sił. Przede wszystkim Francuzi wiedzą, że wojna, którą prowadzą na czele innych narodów od 49 miesięcy, przedłuży się jeszcze”. Tu następuje wyliczenie strat i szkód, jakie Francja poniosła w tych pierwszych pięciu latach wojny. Ludność Francji zmniejszyła się — nie licząc ubytku urodzin — o 3.300.000 osób (zabitych, wziętych do niewoli i deportowanych), przemysł jest dewastowany, system komunikacyjny prawie całkowicie sparaliżowany, kopalnie w stanie opłakany, fabryki pozbawione węgla i piasku, spręża trnityca zużyta, spichrze psze — „o to bilans dnia bieżącego”.

„Co nam jeszcze pozostało ze sprzętu kolejowego, staków i surowców, musimy co raz częściej oddawać do dyspozycji wodzów międzyalianckich i na potrzeby wojskowe. Niektórzy mogli myśleć, że pomoc aliantów będzie wielka i szybka, ale to są złudzenia. Pierwszym obowiązkiem prowadzących wojnę jest nakarmić zwyciężonych. Co znowu nakładła na Francję wielkie ciężary i stwarza jej skomplikowane problemy. Zapewne, wielu Francuzów może być zdumionych i zasmuconych sposobem, w jaki wielkie mocarstwa odsuwają Francję od wszystkiego, co dotyczy prowadzenia wojny i przygotowania pokoju. Kiedyś okaże się, czy taka postawa była użyteczna dla sprawy wolności, która była dla wielkich celów, o które walczyli i dla których cierpieli liczne miliony walczących i kobiet w całym świecie. W tej chwili nie pozostaje nam nic innego, jak brać rzeczy takimi, jakimi są, a następnie uświadomić sobie, że w obecnych trudnościach musimy liczyć przede wszystkim na siebie samych i zrozumieć, że — jak dawniej — wielkość naszą może wyrównać tylko z naszego własnego wysiłku. Przynależymy do wszystkiego, co musimy pracować”.

W dalszym ciągu swojej mowy gen. de Gaulle położył nacisk na konieczność organizowania wysiłku społeczeństwa „w porządku narodowym”, co tłumaczy jako gotowość do brania na siebie odpowiedzialności przez wszystkich, na których odpowiedzialność ciąży i jako zerwanie z wszelką improwizacją, która była dobra w czasie walki z okupantem, ale obecnie może być tylko szkodliwa. Generał wystąpił także przeciwko tym, którzy usiłują tworzyć inne, niż rządowe ośrodki dyspozycyjne w wojsku (tj. przeciwko komunistom z „marxist” i opowiedział się na rzecz całkowitej jedności wszystkich Francuzów oraz na rzecz przebaczenia błędów i omyłek („któż nigdy nie popkniął omyłki!” — za wolą generał). „Ogromna większość nas wszystkich, to byli i są Francuzi dobrej woli”.

Mając Ojczyznę dać się doskonale pogodzić z surowym i odważnym spojrzeniem na rzeczywistość. Prawda łamie tylko słabe charaktery. A gen. de Gaulle ma — jak zaświadczą sam premier Churchill — „charakter mocny chociaż przykry”.

Żartobliwy sojusznik

Artykuł sowietofilskiego tygodnika amerykańskiego „The Nation”, który poniżej referujemy, nie został bynajmniej napisany pod wrażeniem ostatnich wydarzeń. Dobrze to świadczy o przenikliwości umysłu autora (Joachima Joestena), że potrafił tak przekonywująco i wciąż jeszcze aktualnie wnioski wyciągnąć z obserwacji kilku załedwie faktów z bogaczej się odtąd nieustannie serii szokujących posunąć dyplomacji sowieckiej. Bo oto Joesten miał do dyspozycji tylko: uznanie rządu Badoglio, historyk „Pravdy” o niemiecko-angielskich pertraktacjach pokojowych i atak tego pisma na dawnego sowietofila, Wendell Willkiego. Pisze Joesten: „Doszliśmy do tego, że obserwatorzy zagraniczni w Moskwie — zarówno dyplomaci, jak i korespondenci — biorą się do porannej lektury „Prawdy” z zapartym tchem oczekując stale jakiegos nowego wstrząsu”.

Minęło załedwie pół roku, od tej chwili, a przypuszczenie Joestena, że Sowietę pragną tylko bezpieczeństwa, tj. czegoś w rodzaju „odromconego pasa sanitarnego” na

swich zachodnich granicach — przypuszczenie, na którym autor buduje całą swoją pożąliwą postawę wobec Rosji sowieckiej — wydaje nam się dziś niemal historycznym wspomnieniem. „Kłopot nie jest z tym, czego Rosja chce — pisze Joesten — ale z taktyką, jaką się dla osiągnięcia tych swoich celów posługuje”. Joesten — jak wielu liberalów — ma krótką pamięć i nie przychodził mu do głowy, że z bardzo podobnym zjawiskiem świat spotykał się i „rozprawiał” (równie energicznie, co dziś) w przedwojennym roku 1938. To ułatwilo by nam zadanie. Trzeba jednak przyznać, że i bez tego jego analiza taktyki dyplomacji sowieckiej jest pełna wnikiwości, a nawet sarkazmu.

Joesten ostrzega w tej taktyce cztery zasadnicze cechy. Pierwszą z nich nazywa „techniką wstrząsów”. Technika ta tłumaczy się zniecierpliwieniem, jakie w Moskwie wywołują tradycyjne metody dyplomatyczne Waszyngtonu, a zwłaszcza Londynu. Metody te doprowadzają Rosjan do rozpaczy ostrożności, z jaką w stolicach demokratycznych rozwiązywane są najbardziej palące problemy.

Drugą cechą dyplomacji sowieckiej jest „mystyfikacja”. Polega ona na utrzymywaniu wszystkich w niepewności co do jej celów, by w pewnej chwili przez jakiegoś zdumiewającego posunięcia nagle rzucić w ciemność strumień jasnego światła”.

Trzecią cechą Joesten nazywa „kapielał fiśką”, która — jak wiadomo — polega na nagłym przejściu od temperatury gójącej do lodowatej, a w wypadku sowieckim — od wylewów serdeczności do kubit zimnej wody. „Dobrze to robi każdemu, kto do tego przywykł, ale kto nie przywykł...” nie dopowiada Joesten.

Najbardziej oszałamiającym obyczajem rosyjskim wydaje się jednak Joestenu „periodyczne walenie po łbie przyjaciół Rosji”. „Zaden przyjaciel Związku Sowietckiego — choćby najdosłowniej, najgorętszy i najszybszy — nigdy nie jest bezpieczny przed nagłą napadczą ze strony jakiegos sowieckiego skryby... Tajemnica tkwi w tym, że troskliwość Sowietów o zdobycie sobie przyjaciół wcale nie jest większa od ich niechęci do robienia sobie wrogów”. Gładko i trafnie powiedziane — musiał ow Joesten długo siedzieć w hotelach Moskwy.

Wreszcie Joesten radzi brać pod uwagę „szczególne poczucie humoru, jakim odznacza się Stalin”. Rosjanie — powiada — mają trochę parobacką, a trochę sztabucką zwinność płatania figli, a to w jednym sojusznicy — z tym samym trafnym instynktem, dem dla wreszelającego efektu, z jakim sztabuk ubija szpilki w siedzenie nauczyciela lub z jakim Flip rozgnata porcję lodów na język Flapa — dyplomata sowiecki ustawa krzesło spod swego sojusznika właśnie w chwili, gdy ten zasiada do rozmów na temat wspólnych interesów”.

A jak mają się do tego wszystkie ustosunkować alianci? Broń Boże nie tak jak dotąd — tzn. nie obrażać się, nie skarżyć się i nie dawać do zrozumienia, że Rosjanie powinni przybrać inne manieri. To do niczego nie prowadzi. Trzeba przede wszystkim nie narażać się na takie kawały i figle, następnie nigdy niczego nie uważać za ustalone, stale mieć się na baczności przed następnym wstrząsem, a wreszcie okazywać więcej zimnej krwi i dumy. Nie przejmować się więc piśmiem sowieckim, bo to mu tylko dodaje blasku. A wreszcie pamiętać, że Rosjanie mają wielki respekt dla... siły. Cóż za rewelacja!

by.

Nowe wydawnictwa

W sprzedaży znajdują się następujące nowe wydawnictwa Oddziału Prop. i Kult. Dłwa A.P.W.

1. Monte Cassino - Album rysunków Zygmunta Turkiewiczca. Cena 220 lirów.
2. Azja i Afryka - Antologia poezji polskiej na Srodkowym Wschodzie. Cena 100 lirów.
3. Wiktor Szaryński - W laboratorium radości życia. (Zarys higieny psychicznej ze szczególnym uwzględnieniem życia wojskowego). Cena 35 lirów.
4. J. Wedow — Wracające żagle (poezje).
5. J. Zywina - Rozmowa z księżym (poezje).